SOBOTA
Nr 3 6.I.1979 r Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

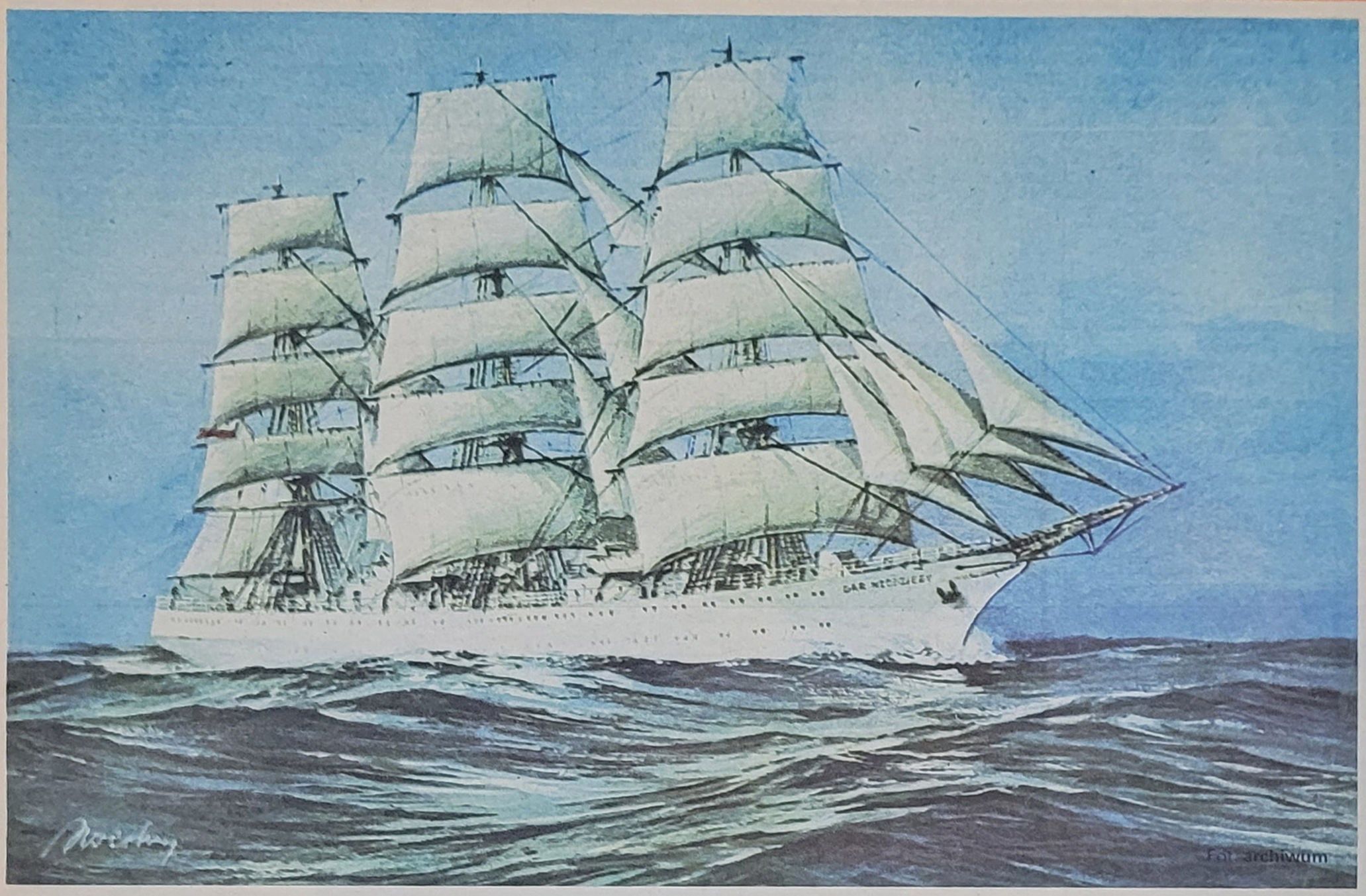

Fot. archiwum

Już od kilku lat „Dar Pomorza" czekał na swojego następcę. W czerwcu br. działacze młodzieżowi Trójmiasta zwrócili się do młodzieży całego kraju z apelem o pomoc w budowie szkolnego żaglowca. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Już po kilku dniach lista zgłoszeń obejmowała kilkadziesiąt pozycji: wpłat na fundusz budowy i zobowiązania wykonania różnych urządzeń wyposażenia statku. Przygotowano też projekt przyszłego żaglowca, który nosić będzie nazwę „Dar Młodzieży".

Na stronie 4 przeczytasz reportaż o głównym konstruktorze „Daru Młodzieży" – mgr inż. Zygmuncie Choreniu.

WĘDRÓWKA POŁĄCZONA Z RYWALIZACJĄ O TYTUŁ NAJLEPSZEGO KLUBU TURYSTYCZNEGO

TARNÓW (HSI). 150 harcerzy z 15 harcerskich klubów turystycznych z woj. tarnowskiego, wzięło udział w zorganizowanym po raz trzeci harcerskim zlazie „Ciężkowice-78". Prowadzący pięknymi trasami Podgórza Ciężkowickiego zlaz, był równocześnie formą współzawodnictwa o tytuł najlepszego klubu. W klasyfikacji ogólnej pierwsze miejsce przypadło w udziale harcerzom ze szczepu przy Zespole Szkół Mechaniczno-Elektrycznych z Tarnowa.

(gaz)

Lidzbarskie LO otrzymało specjalny dyplom Ministerstwa Obrony Narodowej

LIDZBARK WARM. (HSI). W tutjeszym Liceum Ogólnokształcącym im. Kazimierza Jagiellończyka odbył się „I zjazd absolwentów w mundurach". Przez 33 lata istnienia tej szkoły około 200 jej wychowanków pełni obecnie służbę wojskową w różnych rodzajach broni. Na zjazd przybyło ich kilkudziesięciu: absolwenci i słuchacze akademii wojskowych, wyższych szkół oficerskich i szkół chorążych. Wśród nich znaleźli się również tacy; którzy już nie noszą na co dzień mundurów – kombatanci Wojska Polskiego. Wśród kombatantów jest mieszkaniec Lidzbarka Warmińskiego, Piotr Nowik, obrońca Westerplatte. Po uroczystej akademii wojskowi spotkali się z młodzieżą wszystkich klas, aby opowiedzieć swym młodszym kolegom o zawodzie, który wybrali. Lidzbarskie Liceum Ogólnokształcące otrzymało w tym roku specjalny dyplom Ministerstwa Obrony Narodowej za osiągnięcia w dziedzinie obronności kraju.

Wiesław Czermak

UCZNIOWIE SAMI WYBUDUJĄ SZTOLNIĘ, KILKA METRÓW OD SZKOŁY

JASTRZĘBIE (HSI). Uczniowie Zasadniczej Szkoły Górniczej przy kopalni węgla kamiennego im. „XXX-lecia PRL" w Jastrzębiu planują wybudowanie sztolni szkoleniowej dla własnych potrzeb. Usytuowana ona zostanie w bezpośrednim sąsiedztwie szkoły. Sztolnia służyć będzie zarówno uczniom ZSG, głównie najmłodszym klasom, które nie posiadają prawa zjeżdżania na dół kopalni, jak też do szkolenia nowo przyjmowanych pracowników. Znajdą się w niej między innymi – model ściany węglowej i większość maszyn oraz urządzeń górniczych. **(kż)**

DLACZEGO FILATELIŚCI BARDZO SIĘ UCIESZYLI, GDY SPALONO KILKA MILIONÓW ZNACZKÓW POCZTOWYCH

RZYM (PAP). Władze republiki San Marino zdecydowały się spalić kilka milionów nowych znaczków pocztowych, aby uporządkować rynek filatelistyczny, gdyż niektóre serie znaczków spadły w cenie poniżej ich oficjalnej wartości. Na zniszczenie przeznaczona została między innymi jedna z najstarszych serii znaczków pocztowych tego kraju. Filateliści San Marino, i nie tylko, powitali z uznaniem tę inicjatywę. Przy okazji wyrażono ubolewanie, że nie czynią tego samego inne państwa, których dochód narodowy w niemałym procencie opiera się na emisji właśnie znaczków pocztowych. **(kż)**

NIE TYLKO DLA PALĄCYCH!

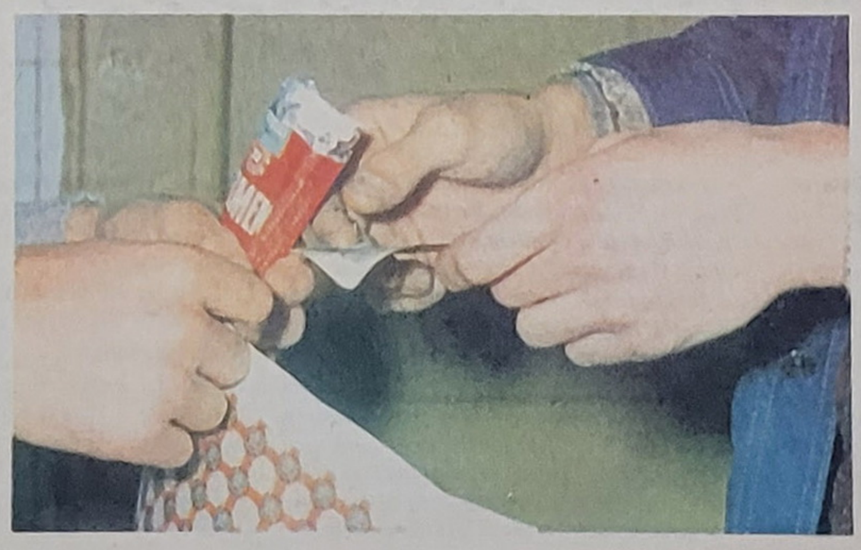

W naszym liceum każdy może palić papierosy, ale wcześniej musi kupić znaczek PCK za 10 złotych. Jeśli nauczyciel przyłapie palacza, a ten wylegitymuje się znaczkiem – wszystko jest w porządku. Najgorsze jest to, iż jeden znaczek wystarcza tylko na wypalenie jednego papierosa i dlatego trzeba ograniczać liczbę wypalonych papierosów, bo kieszeń nie wytrzymuje.

K.P. Lublin

Dziś na str. 3 przedstawamy propozycje naszych Czytelników w sprawie ograniczenia liczby młodzieży palącej papierosy.

Warto o tym wiedzieć

POLSCE LUDOWEJ –na jej jubileusz

Lepsza praca i nauka, większy udział młodzieży w przeobrażeniach jakie dokonują się w ich rodzinnych wsiach i miastach – oto główny cel różnorodnych przedsięwzięć jakimi młode pokolenie pragnie uczcić przypadającą w tym roku trzydziestą piątą rocznicę powstania Polski Ludowej. W szczegółowym i bardzo bogatym programie zamierzeń, przyjętym na niedawnym plenum Rady Głównej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, zwraca uwagę kilka szczególnie interesujących propozycji działania. Przedstawmy niektóre z nich:

● „WSZECHNICA 35-LECIA" – tak brzmi hasło programu działalności ideowo-kształceniowej. Złożą się na niego tradycyjne formy pracy ruchu młodzieżowego, a więc takie jak zebrania szkoleniowe kół, grup działania, drużyn, turnieje wiedzy społeczno-politycznej, cykle dyskusyjne, seminaria i spotkania z ludźmi, którzy budowali naszą ojczyznę. We wszystkich środowiskach młodzieży przeprowadzone zostaną zajęcia pod hasłem „PARTIA W DZIAŁANIU – PARTIA W TRZYDZIESTOPIĘCIOLECIU".

● Wśród inicjatyw produkcyjnych i społecznych warto wymienić między innymi „MŁODZIEŻOWE BRYGADY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI". Są one kontynuacją różnych form młodzieżowego współzawodnictwa pracy, przyczynią się do wykorzystania rezerw jakie tkwią jeszcze na każdym stanowisku pracy. W „MŁODZIEŻOWYCH SZTAFETACH MIAST" i „MŁODZIEŻOWYCH SZTAFETACH GMIN" oprócz młodzieży pracującej zawodowo wezmą także udział harcerze i studenci. Wspólnym wysiłkiem wykonanych zostanie szereg czynów społecznych i gospodarczych. Inicjatywy służyć będą nie tylko poprawie jakości produkcji, ważne są w nich także cele wychowawcze, uświadomienie młodym pracownikom konieczności poprawy gospodarności i dyscypliny pracy. Młodzież ma w tej mierze dużo do zrobienia, warto pamiętać, że czterdzieści procent pracowników przemysłu, handlu i usług to ludzie młodzi.

● Studenci kontynuować będą rozpoczętą przed kilkoma laty akcję „MŁODZIEŻ AKADEMICKA BUDUJE CHEŁM – MIASTO MANIFESTU LIPCOWEGO PKWN". Dla harcerstwa najważniejszym przedsięwzięciem będzie kolejny rok „OPERACJI BIESZDZADY-40".

Aktywny udział całego młodego pokolenia – stwierdzono na plenum RG FSZMP – w obchodach wielkiego jubileuszu PRL będzie kolejnym dowodem gorącego patriotyzmu i zaangażowania młodzieży w dalszy rozwój kraju. (kp)

W co się bawić?

ZA OTWARTYMI DRZWIAMI

Ileż razy już to widziałem: młodzi ludzie spacerują po szosie, nudzą się na skwerku, w kawiarni, w zaśmieconym dworcowym bufecie – a w pobliskiej świetlicy, klubie czy szkolnej harcówce lśnią wyfroterowane posadzki, których nie ma komu brudzić! Od czasu do czasu tylko odbędzie się tu jakaś narada, jakieś plenarne posiedzenie lub „kurso-konferencja"... Dlaczego? Najczęściej słyszy się, że winna jest sama młodzież: gnuśna, bierna, nastawiona konsumpcyjnie do życia. Wini się też brak instruktorów i funduszy na atrakcyjną działalność, kiepskie wyposażenie młodzieżowych klubów, których drzwi na próżno są otwarte. Ale czy to cała prawda?

Kibic

Marek, mój znajomy, nie bywa prawie nigdzie, choć mieszka w stolicy, gdzie tyle drzwi stoi przed nim otworem.

– Nie pociąga mnie metaloplastyka, wyrosłem ze zbierania znaczków, nie recytuję. Owszem, czasem wybiorę się do kina czy do teatru, obejrzę wystawę. No, na ostatniej byłem ... zaraz...zimą... Jakiś rok temu. Mam telewizor. Zresztą nie bawi mnie to! Wszystko przestaje bawić, jeśli nie ma się z kim porozmawiać. A w kinie czy na wystawie jesteś tylko widzem, obserwatorem. Wychodzisz może bogatszy w myśli, ale samotny jak przedtem, nie otworzywszy do nikogo ust! W szkole? W szkole nie ma okazji do poważnych rozmów, tam się serca nie otwiera. Ot, takie pogaduszki o wszystkim i o niczym. Nie ta atmosfera... Zapisałem się kiedyś do kółka radiotechnicznego – nie, nie z zainteresowania, z przypadku! Po prostu słyszało się o nim, coś się tam fajnego działo, a ja chciałem w czymś uczestniczyć. Być z kimś. Więc rzeczywiście: robili tam różne cuda, nawet nagrody zdobywali – tyle że prawie się do siebie nie odzywali. „Pożycz lutownicę!" „Wytłumacz schemat..." Poza fachowe rozmowy nie wychodzili. No i znudziło mi się... Potem chciałem kiedyś coś u nich jeszcze zmajstrować – ale „obcego" nie wpuścili – „albo chodzisz, albo nie"... Teraz miałem zamiar wstąpić z kumplem do harcerstwa, pojeździć na biwaki, rajdy – ale w tej szkole nikt o czymś takim nie słyszał.

– A czy nie możesz po prostu namówić na wspólne wycieczki paru kolegów? – nie wytrzymuję. – Albo załóżcie harcerski klub turystyczny! Jeszcze wam pomogą sprzęt kupić i zwolnią z lekcji na rajd! No, bo jeśli nie odpowiada ci rola kibica... –

– Coś ty, życia nie znasz? Ilu ja chętnych znajdę? Kto będzie chciał rozmawiać z trzema uczniami?

Coraz wystawniej?

No właśnie! A przecież mam przyjaciół, którzy stworzyli u siebie w pracy koło PTTK, wywalczyli dla niego poparcie i pieniądze. Zaczęli w kilka osób – dzisiaj jest ich wielu, stali się oczkiem w głowie dyrekcji. Ileż takich możliwości jest u nas nie wykorzystywanych, ilu potencjalnych mecenasów nikt nie prosi o opiekę?

Wiem, że młodzież boi się mecenatu dorosłych. Często bowiem nie rozumieją oni, że nie powinni myśleć i decydować za młodych, a tylko służyć im pomocą i radą. Popierając np. twórczość amatorską niejednokrotnie zaprzeczają sensowi twórczości w ogóle, zmuszając młodzież do recytowania pod dyktando i papugowania innych – z czego sami „artyści" zamienieni w marionetki nie zawsze zdają sobie sprawę, dziwiąc się tylko, że ich rówieśników to nie zachwyca. Czymś niebywałym jest tu poznana przeze mnie grupa chłopców, którzy w porozumieniu z woźną zakradali się wieczorami do własnej szkoły, aby ćwiczyć na instrumentach, które pan dyrektor zgodził się im udostępnić tylko pod warunkiem, iż będą grali to, co jemu się podoba i akompaniowali szkolnemu chórowi. Nie wiem, jaką miał minę, gdy po roku takich potajemnych prób, muzykowania po domach na pożyczonych instrumentach zdobyli nagrodę w wojewódzkim przeglądzie – o czym, oczywiście, powiadomiono szkołę. Rozumiem wszak dyrektora, który wolał mieć jeden wspaniały zespół, niż kilka małych, bliższych wprawdzie upodobaniom młodzieży, lecz nie dość reprezentacyjnych i przysparzających więcej kłopotów.

W większości szkół zresztą jest dzisiaj jakiś jeden „prestiżowy" zespół. Ma on zwykle wieloletnią tradycję – bo jest to wszak i inwestycja ekonomiczna – kosztowne instrumenty i kostiumy, na które łoży często wiele rozmaitych instytucji, służyć muszą kolejnym pokoleniom uczniów. Nierzadko służy im też ten sam repertuar – sprawdzony, dający gwarancję, że tyle wysiłku nie pójdzie na marne. Najśmieszniej jest jednak, gdy to jedyny zespół, jedyna działalność jaką szkoła popiera.

Podobne zjawisko trzymania się kurczowo wypracowanych już form obserwować można na harcerskim festiwalu w Kielcach, gdzie powtarzają się pomysły z kiermaszy, korowodów, koncertów – w coraz bogatszej za to oprawie. Nim więc pojawią się ansamble w szatkach przetykanych złotem i zapinanych na brylantowe guziki, zwracam wszystkim zainteresowanym uwagę, że nie tędy droga do socjalistycznej kultury.

Nie wystarczy otworzyć drzwi

A przecież szkoła – podobnie jak dobry studencki klub – mogłaby stać się mecenasem wielu samorodnych zespołów i twórców. Aby każdy mógł zajmować się tym, co najbardziej lubi, aby codziennie coś ciekawego się działo. Fakt, że to bardziej kłopotliwe, ale też byłoby to prawdziwe pole do popisu dla harcerzy i samorządów uczniowskich.

No cóż, marzę sobie... Lecz wystarczy wszak jeden w każdej szkole klub środowiskowy otwarty dla wszystkich i na wszystko. Nie idzie mi tu, oczywiście, o klub plastyczny przy liceum plastycznym lub motoryzacyjny przy technikum samochodowym. Środowiskowy – to znaczy odpowiadający rozmaitym potrzebom środowiska. Klub, do którego przyjść można i na tańce, i dyskusję, i wieczór poezji, i pośpiewać, i porozmawiać o przedstawieniu, na które ktoś załatwił bilety, zorganizował wyjazd. Klub zapraszający ciekawych, bliskich młodzieży poglądami i stylem bycia ludzi – choćby starszych kolegów z zespołów studenckich. A wszystko to zorganizować, rozruszać może parę osób tworzących radę klubu! Wysilających się przede wszystkim dla siebie – i dzięki temu dopiero, i dla kogoś jeszcze...

Niestety, wiem również, że nie tylko władze interesują się głównie wielkimi zespołami, masowymi akcjami i imprezami, niechętnie wdając się w pertraktacje z trzema uczniami, których zapał okazać się może w dodatku słomiany. Już i sama młodzież, jak Marek, nie wierzy w możliwość i sens robienia czegokolwiek w kilka osób. Zrobić coś – to znaczy coś dużego, przynajmniej na sto par, żeby aż echo poszło! Dla kilku nie ma się co wysilać. A przecież nie wszystko można i warto robić w tłumie! Choćby dyskutować z zaproszonym gościem. Bo cóż to za rozmowa – tylu nie znających się ludzi, bojących się wygłupić – nie mówiąc już o asyście dowcipkujących kolegów, których to akurat nie ciekawi, a których zmuszono do przyjścia. No, ale ile osób bierze za to udział w spotkaniu!

Nie wszędzie oczywiście tak to wygląda, mamy sporo i dobrych klubów. Najlepiej jednak działające to kluby zbieraczy (filatelistów, numizmatyków, etnografów, archeologów itp...) oraz kluby techniczne czy tzw. sprawnych rąk – czyli lepiej lub gorzej wyposażone zwykłe pracownie z instruktorem, ciemnie fotograficzne, warsztaty... Zarówno jedne jak i drugie wymagają dość sprecyzowanych zainteresowań i są właściwie zamknięte dla osób z zewnątrz. Ot, urządzą dla nich czasem wystawę swych zbiorów lub np. pokaz modeli latających. Znacznie słabiej działają kluby dyskusyjne i miłośników sztuki – a więc te, których imprezy otwarte mogą być dla wszystkich. O nich jednak – już w następnej części tych rozważań, do podjęcia których i Was namawiam!

JULIUSZ GOSTKOWSKI

Do stworzonego w czasie kieleckiego festiwalu klubu gitarzystów „ŚM" każdy mógł przyjść prawie codziennie, aby nauczyć się nowych piosenek, pośpiewać wspólnie lub solo

Fot. **Janusz Wontroba**

Co jest grane?

Marek czuł się w klasie bardzo samotny. Jakby trochę obok. Właściwie nie umiał sobie sam wytłumaczyć dlaczego. Może dlatego, że był po prostu sobą. Nie zgrywał się na nikogo, zachowywał zwyczajnie. Mówił co myślał, niczego nie ubarwiał. A w klasie wiadomo, bez przerwy coś się dzieje i wiele jest sytuacji, w których ujawnia się kto jest kto. Przed lekcją historii np. (wszyscy wiedzą jakie wymagania ma historyca), ci którzy zawsze są dobrzy, np. Jacek mówi: „Słuchajcie. Nie tknąłem historii, no w ogóle nie zajrzałem! Nie mam pojęcia, o co chodzi w tym rozdziale". Marek wie, że to wierutna bzdura. Wiadomo, że Maciek, czy Jacek spędzili po kilka godzin nad książką. Więc czemu teraz udają? Chcą wypaść na bardziej zdolnych, błyskotliwych, na takich, co to im wszystko przychodzi samo. Chyba się wstydzą przyznać, że tyle wysiłku i trudu wkładają w ten przedmiot. Bo, jak kto nie daj Boże się przyzna, że trochę nad książką posiedział, to od razu wiadomo – kujon!

Albo na przykład z tym wiecznym pośpiechem. Wszyscy bez przerwy gdzieś się spieszą. „No wiecie – woła Krzysiek wybiegając z klasy i w powietrzu pakując książki – okropnie się spieszę. Lecę na tenis ze Zbyszkiem, a potem na szachy z Jackiem, no i tę matmę trzeba przelecieć". A Marek wie od jego siostry, że Krzysiek cały czas siedział w domu i robił matmę, a ten tenis i szachy to właściwie czysta fantazja. Ale przed kolegami Krzysiek odegrał osobę, która jest szalenie zajęta i szpilki nie ma gdzie wcisnąć. I Markowi wydaje się, że to jest właśnie w modzie. Fakt spieszenia się gdzieś pokazuje, że jest się rozchwytywanym, rozrywanym.

Jak to jest z Marcinem, który jest „klownem" klasy, ciągle wymyśla kawały, małpuje nauczycieli na przerwach, opowiada niesamowite dowcipy, a kiedyś jak przypadkowo został z Markiem sam po lekcjach, okazało się, że interesuje się muzyką poważną (o czym nikt nie wie), że zachłystuje się Conradem, że naprawdę przejmuje się nauką. A o chemiczce, która jest strasznie śmieszna, myli nazwiska, na początku lekcji bardzo długo szuka pióra, z której wielu się podśmiewa, a i sam Marcin celuje w naśladowaniu jej, a wówczas powiedział: „Wiesz, ona świetnie tłumaczy. Tak wszystko pod koniec lekcji sumuje, wyciąga wnioski. Po jej lekcji, mam tak wszystko poukładane w głowie, że nie muszę wcale zaglądać do książki. A jeśli chodzi o angielski, to długo nad nim siedziałem wczoraj i w ogóle te słówka nie chcą mi wejść do głowy." Marek zdębiał: Marcinowi coś nie chciało wejść do głowy! I on siedział nad książkami! A jutro znowu wejdzie do klasy i powie: „Słuchajcie, nie tknąłem anglika. Nie zajrzałem. Jestem całkowicie zielony".

Ewka na przykład paple bez przerwy, chichocze przy każdej nadarzającej się okazji, wygląda na osobę, która zajmuje się wyłącznie ciuchami i zespołami „pop". A kiedyś jak wracali razem ze szkoły nagle powiedziała szczerze: „Tak bardzo bym chciała pomóc mojej mamie finansowo. Ciężko pracuje, bez przerwy jest zmęczona. To może śmieszne, ale jak bym pojechała na taki OHP, to tam można całkiem nieźle zarobić. Zawsze trochę bym pomogła."

Czy boją się, że zostaną wyśmiani? Czy po prostu ta forma bycia, chroni ich jak skorupa. Co jest grane? Czy ta gra pomaga żyć?

I Marek w końcu nie wie czy zna swoich kolegów czy nie zna. Dlaczego są inni w klasie, w grupie a inni w pojedynkę? Jak do nich dotrzeć?

MAŁGORZATA M. WIŚNIEWSKA

Skracanie dystansu

Stefan Rogalski, dyrektor Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem, twierdzi, że polskie góry ożyły dopiero teraz. Trudno nie zgodzić się z tym stwierdzeniem; w Tatrach i Beskidach, w Sudetach i Bieszczadach, w Górach Świętokrzyskich i na Roztoczu aż rojno od narciarskiej braci. Powstają wciąż nowe wyciągi nie tylko na Kasprowym, Gubałówce czy Nosalu, ale także na Śnieżniku, Jaworzynie, Tarnicy...

Zjazdy i biegi przestały być modne wśród kilku tysięcy wczasowiczów. Stały się pasją dziesiątków tysięcy naszych obywateli. Jak Polska długa i szeroka, w górach i na nizinach, wszędzie można spotkać entuzjastów „desek". Dyrektor Rogalski jest zdania, że z tej mąki może być chleb. To znaczy, że jest szansa na skrócenie dystansu, jaki dzieli polskie narciarstwo od światowej czołówki. Szczególnie w biegach, dyscyplinie do niedawna nie bardzo poważnej nad Wisłą.

Dwie strony medalu

Sukces Józefa Łuszczka podczas ubiegłorocznych mistrzostw świata w Lahti miał podwójne znaczenie. Po pierwsze: rozsławił polski sport, po drugie: pozwolił na przełamanie pewnej bariery psychologicznej. Kilka lat wstecz nikt nawet nie śmiał marzyć o tym, aby polski biegacz mógł być mistrzem, aby mógł wyprzedzić zawsze doskonałych radzieckich i skandynawskich zawodników. Utarła się nawet opinia o nie odpowiadającej temperamentowi Polaków specyfice tej dyscypliny. W odczuciu wielu teoretyków najlepszą dla nas formą sportowego wyżycia się były konkurencje alpejskie i skoki. Osiągnięcia Bronisława Czecha, rodu Bachledów, Stanisława Marusarza zdawały się to potwierdzać. „Złoto" i „brąz" wywalczone przez Łuszczka w Finlandii obalają panujące poglądy chyba raz na zawsze.

Dalecy jesteśmy od pomnażania w sztuczny sposób wartości sukcesu i pozycji naszego mistrza (choć i tak wiadomo, że krajowych rywali przerasta o głowę), ale wydaje nam się, że w pewnej mierze właśnie dzięki niemu daje się obserwować gwałtowny wzrost zainteresowania narciarstwem klasycznym. Byliśmy w Suwalskiem, Zamojskiem, Olsztyńskiem, Koszalińskiem – wszędzie biegają. Z letargu obudziły się więc nie tylko góry. Okazuje się, że i na nizinach można z powodzeniem uprawiać narciarstwo. Godnym uwagi faktem są także pierwsze w kraju oświetlone tory (Kielce, Tumlin). Sportowy dzień staje się więc dłuższy o kilka godzin.

Za sprawą Łuszczka wytwórnia „Kneisel" wyposaża w najwyższej klasy światowej sprzęt także kilku innych naszych zawodników. Nie trzeba tłumaczyć, jakie to ma znaczenie przy wciąż istniejących kłopotach z zaopatrzeniem. Dla kadry jest więc nart, smarów i kijów pod dostatkiem. Ale pozostali wyczynowi zawodnicy, niestety, narzekają na brak wszystkiego. Żeby nie być gołosłownym: zaopatrzenie na smary pokryto w pięćdziesięciu procentach, na kijki w... kilkunastu. Konia z rzędem temu, kto znajdzie odpowiedniej jakości ubiory i buty. Jeżeli dodamy jeszcze, że narty z Szaflar w dalszym ciągu nadają się raczej do treningów – to i mamy sporą listę najpoważniejszych zmartwień Polskiego Związku Narciarskiego.

Wyścig narciarskich „zbrojeń" trwa. We wszystkich państwach mających coś do powiedzenia w zimowych sportach wre robota na całego. Zbliżająca się zima stanowi przedostatni przecież etap olimpijskich przygotowań. Następna upłynie pod znakiem igrzysk w Lake Placid (USA). Czy dla Polaków powtórzy się drugi Innsbruck? O Łuszczka, jak zapowiada trener Edward Budny, nie musimy się martwić. O dwuboistę Kazimierza Długopolskiego chyba również. Warto wspomnieć, że tylko ci dwaj tworzą kadrę A. Dziewięciu innych zawodników (różnych zresztą specjalności) stanowi kadrę B. To również mocna grupa. O jej sile świadczy chociażby fakt, że zabrakło w niej miejsc dla... Jana Staszela i Wiesława Gębali.

Pucharowe szaleństwo

Tegoroczny kalendarz imprez w konkurencjach klasycznych jest bogaty jak chyba nigdy. Składa się on aż z 161 zawodów międzynarodowych. Po raz pierwszy umieszczono w kalendarzu Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS) Puchar Świata w konkurencjach biegowych. Jedne z wielu pucharowych zawodów odbędą się, chyba znowu tylko dzięki Łuszczkowi, w Zakopanem (podczas Memoriału Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny – 16 luty). Nie trzeba chyba dodawać jak ogromne szanse na generalne zwycięstwo w PŚ ma Józef Łuszczek.

Regulamin Pucharu Świata mówi, że na dziewięć konkurencji, w których wystartuje dany zawodnik do ostatecznej klasyfikacji, liczyć się będzie pięć najlepszych rezultatów. Ale powiedziane jest też, że każdy narciarz musi „zaliczyć" co najmniej dwa biegi na 30 km i 50 km. To już świadczy o wszechstronności przyszłego triumfatora PŚ. Główna nagroda, rzecz jasna, przewidziana jest dla zdobywcy największej ilości punktów. Obowiązuje następujący ich przydział: I miejsce – 26 pkt.; II – 22; III – 19; IV – 16...; XXV miejsce – 1 pkt.

Trudno dziś powiedzieć, który z polskich biegaczy, poza Łuszczkiem oczywiście, liczyć się będzie w pucharowych bojach. Ale mówiąc szczerze – mamy kilku kandydatów na następców naszego mistrza. I to chyba cieszy najbardziej. Na kilka miesięcy przed igrzyskami pozwala na optymizm. Umiarkowany.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Fot. autora i J. Łopuszyński

Zanim spadły pierwsze śniegi... Mistrz świata, Józef Łuszczek, nie czekał biernie na zbliżający się narciarski sezon

Bieganie na nartach stało się pasją dziesiątków tysięcy naszych obywateli

Nasza prośba do Czytelników o podzielenie się z redakcją „ŚM" poglądami na temat co trzeba zrobić, aby ograniczyć wzrost liczby palących papierosy wśród młodzieży, spotkała się z żywym odzewem. Otrzymaliśmy wiele listów, których autorzy prezentują swe opinie w tej sprawie. Są one często sprzeczne ze sobą, zwłaszcza dotyczy to takich problemów jak: zakazywać czy nie, karać czy nie, prowadzić pogadanki w szkołach czy też zrezygnować z tej formy propagandy antynikotynowej. Nie chcemy nic rozstrzygać, ani też komentować wypowiedzi Czytelników, zgodnie z zajętym przez nas stanowiskiem, że WSZYSTKO ZALEŻY OD WAS, WALKA Z NAŁOGIEM PALENIA PAPIEROSÓW NALEŻY DO WAS SAMYCH I ZALEŻY OD WASZEGO ROZSĄDKU.

Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że jest to prawda niepełna. Bo przecież np. to nie młodzież sprzedaje papierosy i nie młodzież może zdecydować o tym, czy będą one dostępne w handlu tylko dla tych, którzy skończyli lat 18. Dlatego też pragniemy zapoznać z Waszymi opiniami i doświadczeniami wszystkich zainteresowanych: **Ministerstwo Oświaty i Wychowania, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, Główną Kwaterę Związku Harcerstwa Polskiego, Społeczny Komitet Zwalczania Palenia Tytoniu** i inne instytucje. Uważamy bowiem, że to od nich właśnie młodzież ma prawo oczekiwać pomocy i podjęcia zdecydowanego działania. Oczekujemy zajęcia stanowisk przez wyżej wymienione instytucje i z satysfakcją opublikujemy je na naszych łamach.

Ponieważ Czytelnicy nadesłali nam bardzo dużo interesujących wypowiedzi, będziemy drukować je w dwu kolejnych numerach. Dziś część pierwsza.

* * *

Według mnie zamiast haseł powinny być prowadzone dyskusje i częściej ukazywać się artykuły nawiązujące do dyskusji, jak np. ten: „Jesteśmy z wami i przeciwko wam". Dyskusje telewizyjne lub artykuły w prasie nie muszą być prowadzone akurat przez młodzież, mogą być też przecież prowadzone przez dorosłych (nie tylko psychologów). Słuchając raz wywodów psychologa w telewizji, który przekonywał o szkodliwości palenia papierosów, zachciało mi się śmiać? Dlaczego? Bo to co mówił, jest już tak znane, tak płaskie i liche, że inaczej tego już nazwać nie można. Połowa jego wywodów to były liczby: 50 procent młodzieży... 98 procent... Czy liczby mają przekonać, że palenie szkodzi zdrowiu? Przecież chęć palenia w młodym człowieku nie budzi się po to, aby powiększyć sobą jako jednostką procent palących! Moim zdaniem, aby ograniczyć wzrost liczby nałogowych palaczy wśród młodzieży, trzeba zacząć od dorosłych, chociażby częstszymi „dniami bez palenia". Dyskusje prowadzone nawet przez zwykłe osoby palące i niepalące (nie tylko przez psychologów) w szkołach, telewizji, radiu i prasie byłyby dobrym początkiem, dużej akcji antypalaczy. Według mnie, bardziej przekonują swobodne rozmowy, w których można podyskutować, niż straszenie, że ten kto pali umrze na raka.

Gosia

Moim zdaniem, aby ograniczyć liczbę nałogowych palaczy wśród młodzieży, całe społeczeństwo musi wnieść dużo wysiłku. Przede wszystkim rodzice powinni w pewien sposób kontrolować młodzież. Często zdarza się, że rodzice wiedzą o tym, że ich dzieci palą i wcale nie starają się, by zwalczyć ten w pewnym sensie już nałóg. W szkołach również poświęca się za mało czasu, tej jakże ważnej sprawie. Na przykład u nas w szkole powinny być jakieś dyżury nauczycieli w szatni, bo podczas przerw uczniowie bez żadnego strachu palą papierosy. A w ogóle to powinno wyjść jakieś zarządzenie, które by uniemożliwiało kupowanie papierosów przez nieletnią młodzież. W ten sposób na pewno ci nałogowi palacze tyle by nie palili, bo mieliby mniejszy dostęp do tej szkodliwej trucizny.

N.N, Bartoszyce

Podczas dyskusji na temat palenia, padło takie sformułowanie: w grupie, gdzie jest dużo palących, jeden niepalący nie ma nic do powiedzenia. To jest nieprawda; swoim uporem i silną wolą może zdziałać bardzo dużo! Zlikwidować palenia wśród młodzieży nie da się od razu i całkowicie, w dużym stopniu zależy od niepalących, którzy powinni starać się wywrzeć wpływ na osoby palące. Należy także wykorzenić mniemanie, że ci co nie palą to coś gorszego od tych co palą, bo przecież tak nie jest.

„Placyda" Luboń

Gdy chodziłem do szkoły podstawowej, to w klasie VIII nie palił ani jeden chłopak i dziewczyna, choć nas było 31 uczniów i nie sądzę, żeby w młodszych klasach ktoś palił. Często na godzinach wychowawczych rozmawialiśmy z wychowawczynią na ten temat, że nikotyna jest szkodliwa i jest to głupie przyzwyczajenie. Sądzę, że gdyby wszystkie punkty sprzedaży papierosów nie sprzedawały dzieciom do osiemnastego roku życia papierosów, to by była mniejsza liczba palących, bo przecież rodzice by im nie kupowali.

Kazik z woj. rzeszowskiego

Chciałbym dać prywatną radę tym, co chcą rzucić palenie. A więc postanawianie, palę ale tylko powyżej 10 złotych za paczkę, a gdy nie mam tylu złotych, w żadnym wypadku nie kupuję innych. Można się stopniowo odzwyczajać, zwiększając cenę papierosów.

Marek z Chodzieży

Nie tylko dla palących!

OD LAT OSIEMNASTU?

By zmniejszyć liczbę nałogowych palaczy wśród młodzieży, trzeba zmienić stereotyp bohatera i bohaterki filmów; także ludzie dorośli powinni unikać palenia tam, gdzie dużo jest młodzieży. Bo chęci naśladowania swych rodziców lub spróbowania co to papieros, już się nie zmieni. To wszystko efekty przemyśleń z wrażenia, jakie wywarło przeczytanie publikacji w „ŚM".

Małgorzata-Agata, Warszawa

O to, żeby liczba palącej młodzieży zmniejszyła się powinniśmy się postarać **My Niepalący!** Oni chyba też mają trochę rozsądku i do tego ich rozsądku trzeba przemówić, ale nie moralami i stwierdzeniami lekarzy, lecz tak po naszemu, ażeby to do nich jakoś dotarło. O to powinni postarać się niepalący rówieśnicy. Prawdę mówiąc, to tym sposobem udało mi się odwieść od palenia (przynajmniej częściowo) trzy osoby.

Eliza – Świdnica

Kilka lat temu czytałem w prasie artykuł o zapisywaniu chętnych na wczasy odwykowe dla palaczy. Moim zdaniem wiele młodzieży chciałoby się oduczyć palić papierosy. Można by zrobić takie wczasy dla młodzieży do 18 lat podczas wakacji szkolnych. Można by stworzyć warunki sanatoryjne. Gdybyście chcieli pomyśleć o mej propozycji mógłbym wam pomóc. Palę już długo, wiem co to znaczy i pierwszy bym się zapisał na takie wczasy.

Z.K. Żnin

Aby ograniczyć wzrost liczby nałogowych palaczy, należy według mnie zaostrzyć kontrolę zacisznych, najbardziej odpowiednich do tego miejsc. Bo tam można kogoś złapać. Stosować solidne kary, w postaci publicznej pracy.

K.D. Jabłonka

Są kioski „Ruch" blisko szkół i jest wywieszana kartka, pisze na niej; „Młodzieży szkolnej papierosów nie sprzedajemy". Ale gdy jakiś chłopaczek podejdzie do kiosku, to zawsze sprzedadzą. Powinni nie sprzedawać chłopakom do 18 lat.

E.R. Udrzynek

Powinno się sprzedawać papierosy osobom powyżej 20 lat i powinno się podwyższyć ich cenę.

L.W. Sulechów

CZUJĘ JAK WIATR WIAĆ BĘDZIE W ŻAGLE

W gazecie uderzono w wysoki ton i napisano: „Zaczęło się od hasła – druga biała fregata". Hasła w tym nie ma żadnego. Ale brzmi dobrze „biała fregata" – efektowna i poetycka, przynosiła podmuch romantyki morza. – „Druga" – też było dobre. Bądź, co bądź mamy ambicje.

Dla mgra inż. Zygmunta Chorenia wszystko zaczęło się dużo bardziej prozaicznie. Zadzwonił telefon: „Panie Zygmuncie – usłyszał w słuchawce głos szefa – niech no pan zajrzy do mnie na chwilę". W gabinecie szef nie bawił się w przydługie wstępy. „Co pan powie – zapytał – na poprowadzenie zespołu konstruującego żaglowiec? Tak, duży żaglowiec. Taki, który zastąpi „Dar Pomorza"."

Statki. Rybackie. Handlowe. Małe. Duże. Różne. Sporo ich już jest na koncie konstruktorskim Zygmunta Chorenia. 10 lat pracy w Biurze Konstrukcyjno-Projektowym Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Być może tu, w dyrektorskim gabinecie, i inni jego koledzy słuchali propozycji „robienia żaglowca". Może odmówili. A może był pierwszym, do kogo zwrócono się z takim projektem. Zresztą to nie miało znaczenia. Teraz odpowiedź należała do niego. Mógł się zgodzić lub po prostu powiedzieć: „wolę się tym nie zajmować". I nikt nie miałby do niego pretensji. To, co usłyszał, nie było służbowym poleceniem, raczej pytaniem, czy odpowiadałaby mu taka robota. Bo nie można budować statku, gdy nie ma się do niego serca. Tym bardziej żaglowca.

Na morze z małej, podlaskiej wioski wyciągnęło Chorenia „Morze". Paradoks paradoksem, ale zaciekawiła go prowadzona przez redakcję akcja „Klubu Neptuna", coś trochę podobnego do dzisiejszego Bractwa Żelaznej Szekli. W każdym numerze było zawsze trochę informacji o naszej gospodarce morskiej, o statkach, portach. I parę pytań, na które trzeba było odpowiedzieć listownie. Był w 9 klasie, gdy przeczytał, że w czasie wakacji „Morze" organizuje za symboliczną opłatą obóz żeglarski. Jeszcze tego samego dnia posłał do „Morza" kartkę pocztową ze swoją kandydaturą. Przyjęli. Potem pływali DZ-etami po zatoce, byli w porcie, stoczni i nawet – co najbardziej zapamiętał – w wędzarni ryb. Na obozie zrobił pierwszy krok na morze. Dosłownie. Wtedy też zobaczył je po raz pierwszy.

Kilka lat potem. Politechnika Gdańska, Wydział budowy okrętów. Złożył papiery o przyjęcie na studia. Gdy już trzymał w ręku indeks pomyślał, że wybierał studia pod wrażeniem wspomnień z obozu. Następny krok na morze miał już za sobą. Z rodzinnej Komarówki Podlaskiej do Gdańska. Będą następne.

Zdzisław Pieńkawa w książce o udziale jachtu „Otago" w wokołoziemskich regatach „Whitebread" umieścił rozdział złożony z wypowiedzi załogi jachtu. W swoich wrażeniach z żeglugi „Otago" Zygmunt Choreń napisał: „Do tej chwili wspominam ciemną sztormową noc, gdy rozszalałe grzywacze z tępym uporem tłukły się o burty; moment zasypiania w koi po zdaniu wachty, gdy uderzenia kadłuba o wodę przypominały wybuch petardy i dręczące myśli przed zapadnięciem w sen. Ile takich uderzeń może jeszcze wytrzymać kadłub i maszty, nieliczne momenty spokojnej żeglugi, gdy jacht sunął bezszelestnie ciągnąc za sobą fosforyzujący warkocz kilwateru lub też rwał w świeżym wietrze jak rumak parskając bryzgami piany". Teraz dodaje do tych słów, że ktoś, kto sam nie pływał, kto nie przeżył żeglowania prawdziwego, nigdy nie mógłby podjąć się pracy nad „Darem Młodzieży". Po prostu nie mógłby sobie wyobrazić jak wiatr będzie wiał w żagle przyszłego statku.

A z rejsem „Otago" to też wyszło tak trochę przypadkiem. Obiło mu się o uszy (ostatecznie żeglarze to jedna wielka rodzina), że szykuje się taka wyprawa. Że kpt. Pieńkawa chętnie widzi u siebie kandydatów na rejs. Miał stopień jachtowego kapitana żeglugi bałtyckiej pracowicie wypływany w krótkich rejsach wokół naszego wybrzeża, do krajów skandynawskich. Razem było tego gdzieś ok. 4 tys. mil morskich. Nazbierało się od 1958 r., od kiedy zaczął uprawiać żeglarstwo. „I to wystarczyło – mówi Choreń – ale widząc, że przyglądam mu się podejrzliwie, dodaje szybko, że jeszcze udało mu się wzbudzić zaufanie reszty załogi. Uznali mnie za swojego".

Coś mi ta opowieść za pięknie, za różowo wyglądała. Zajrzałem jeszcze raz do

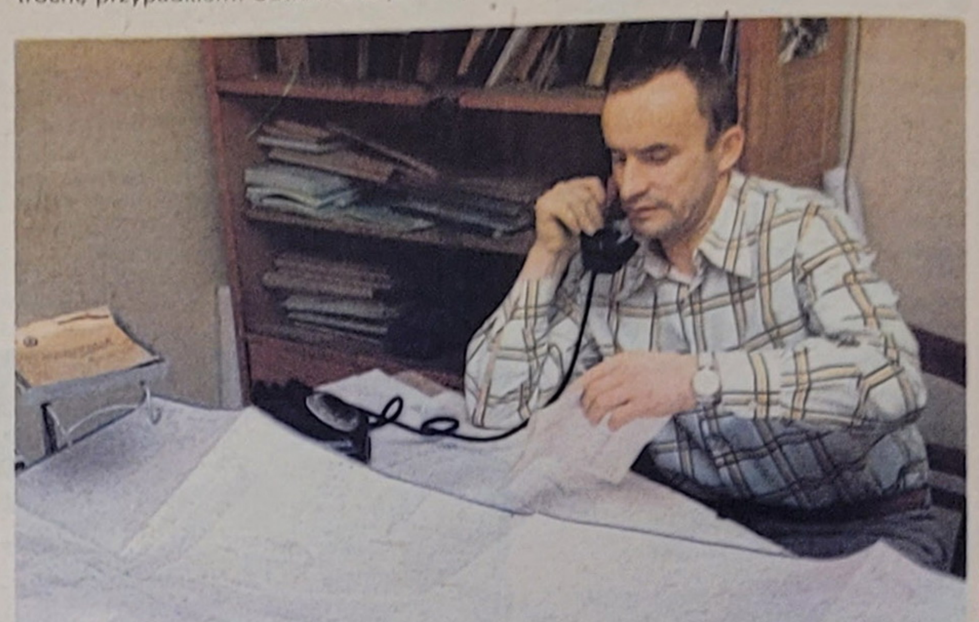

Ile wiader prądu da „ANIA"

Bywało, że gdy młody człowiek pierwszy raz w życiu zjechał na dół do kopalni, wysyłano go do sztygara po „kibel sztromu", co w gwarze górniczej oznacza... wiadro prądu, ponoć niezbędnego do elektrycznego strzelania.

Nie wiem dlaczego, ale ta właśnie anegdota przypomniała mi się w majowy późny wieczór, gdy zaczynałem w VI Bloku Elektrowni „Rybnik" całonocne oczekiwanie na synchronizację. Czyli mówiąc inaczej, oczekiwanie na włączenie bloku do energetycznej sieci państwowej, lub jeszcze inaczej – na ten moment, kiedy budowany ileś tam miesięcy blok energetyczny da pierwszy prąd.

Ludzi kręciło się wtedy w nastawni blokowej sporo. Palili papierosy, mieli zmęczone twarze, podkrążone oczy. Byli i tacy, którzy już trzecią dobę tu pracowali. Niby wszystko po kilka razy sprawdzone, ale jeszcze raz nie zawadzi...

Niektórzy nie mając już nic do roboty zostali jeszcze, by być świadkami tego niecodziennego wydarzenia. Wydarzenia, które wieńczy przecież ich wielomiesięczny wysiłek. Stali pod ścianami nastawni i patrzyli na te sześćset sygnalizatorów, ponad trzysta wskaźników zegarowych i kilkadziesiąt rejestratorów. Co jakiś czas zamigało niespokojnie czerwonie światełko, odezwał się dzwonek alarmowy i dozorujący aparaturę podchodził i regulował jedno z czterystu pokręteł.

Po ostatnim już sprawdzeniu – można włączać. Jeszcze tylko sygnał ze stacji transformatorów i inżynier Leszek Dacko podszedł do kolumny synchronizującej. Aby włączyć blok do sieci musi doprowadzić do tego, aby napięcie i częstotliwość wirowania generatora zgadzały się z takimi samymi parametrami wszystkich bloków energetycznych w kraju. Bacznie obserwując zegary zwiększał więc stopniowo prędkość obracania się generatora. Gdy ta doszła do 3000 obrotów na minutę, wyrównał napięcie i przy idealnie zgranej prędkości obrotów – włączył sterownikiem blok do sieci państwowej. Elektroniczny zegar wskazał godzinę trzecią minut trzydzieści cztery i dwanaście sekund. Niedziela, 7 maja – z VI Bloku Elektrowni „Rybnik" popłynęły pierwsze megawaty.

Zanim jednak do tego doszło, przez kilka miesięcy pracowała w gotowym zdawałoby się bloku brygada rozruchowa. Kilkudziesięciu, a okresami kilkuset wysokiej klasy fachowców sprawdzało, łączyło, próbowało to wszystko, co pozostawili budowniczowie. I młyn węglowy, silniki, napędy kotła i sam kocioł, wreszcie turbinę i sprzężony z nią generator.

Gdy rozległ się przeraźliwy szum, jakby leciało kilka odrzutowców, wiadomo było, że roboty pomału dobiegają końca. Ten piekielny hałas to dmuchanie kotła. Bardzo ważna to czynność, gdyż w stu kilometrach rur, jakie znajdują się w kotle, płynąć będzie pół tysiąca ton wody. Z kotła zaś, para o ciśnieniu 70–90 atmosfer skierowana zostanie na turbinę, która uruchomi generator, a ten da prąd.

Żmudne sprawdzanie, sprawdzanie, sprawdzanie... Układy elektryczne, automatyka, układy cieplne i mechaniczne, próby szczelności, próby napięciowe i wiele, wiele innych. Wreszcie synchronizacja, finałowy akcent wielomiesięcznej pracy wieluset ludzi. VI Blok Energetyczny, nazwany przez budowniczych „Anią" – wytwarza prąd.

Prąd jest drogi i ciągle go za mało. Aby otrzymać jeden tylko megawat prądu trzeba zainwestować aż jedenaście milionów złotych!!!

A gdyby tak w każdym mieszkaniu w kraju wyłączyć jedną 100-watową żarówkę, zyskalibyśmy tyle prądu, ile wytwarza pięć bloków, takich jak „Ania", czyli tysiąc megawatów.

● Gdyby w okresie szczytu wyłączyć wszystkie telewizory na 1 godz., można by wyprodukować 600 ton wyrobów chemicznych.

● Gdyby w tym samym okresie wszyscy przestali prać, można by utrzymać w ruchu dziesięć dużych zakładów przemysłowych, takich jak kędzierzyńskie „Azoty".

● Gdyby zrezygnować natomiast z używania żelazek w godzinach szczytu, można by nie wyłączać dopływu energii do 30 dużych zakładów przemysłowych.

● Gdyby, gdyby...

● Gdy będziecie o tym czytać, budowniczowie Elektrowni „Rybnik" ukończyli już budowę ostatniego, ósmego bloku energetycznego, też dwustumegawatowego, Elektrownia osiągnęła więc moc 1600 megawatów. Dużo! Ciekawe, ile to wiader prądu?

MARIAN TWARÓG

Fot. **Z. Bisanz**

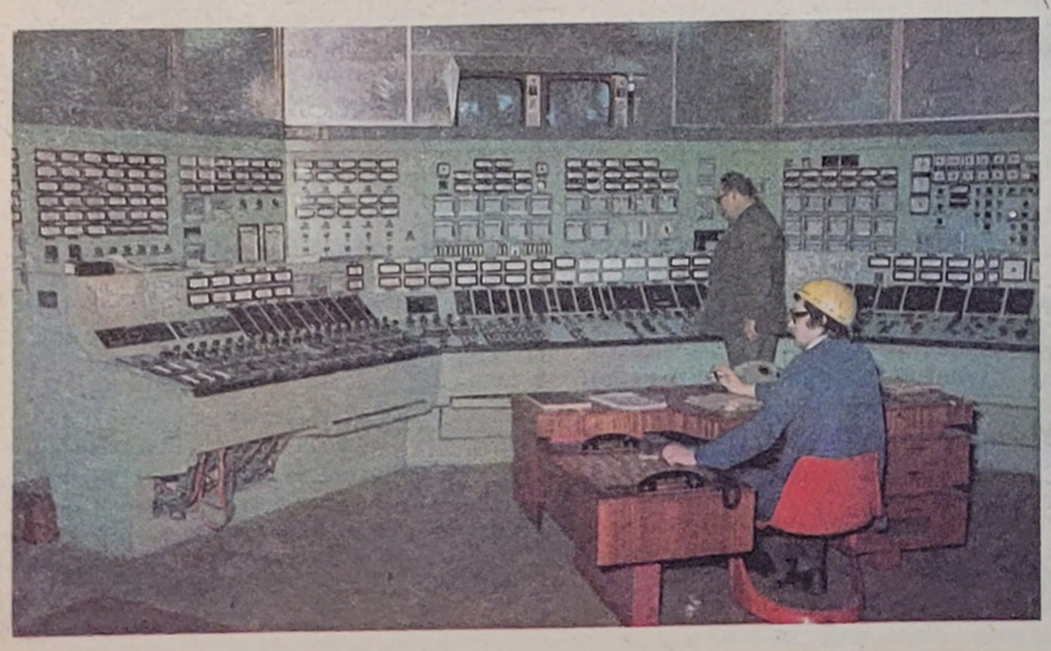

REDAKCYJNA POCZTA

Mam przyjaciela

Piszę do Was w sprawie listu Gosi pt. „Sposób na psa", zamieszczonego w 134 nr „ŚM". Mieszkam w małym miasteczku, i u mnie w domu, jak daleko sięgnę pamięcią, zawsze było jakieś zwierzątko – chomik, albo kot, albo pies. Obecnie mamy psa – setera. Bardzo dużo czasu muszę poświęcać zajęciom związanym ze szkołą; uczę się również muzyki. A jednak moi rodzice wiedzą, że dla psa zawsze czas znajduję. Gosiu, musisz rodziców przekonać, że będziesz się zwierzakiem zajmowała i że nie zaniedbasz innych obowiązków! Pies nie musi być duży – mały ratlerek czy kundelek też potrafi być przyjacielem.

Gosia z Witaszyc

Jestem uczniem Liceum Lotniczego. Chciałbym znaleźć korespondencyjnych przyjaciół – Robert Ślusarczyk 08-521 Dęblin 3 Liceum Lotnicze.

My też pracujemy i to ciężko

Internat nasz umieszczony jest przy Technikum Rolniczym w Sośnicy i my musimy podobnie ciężko pracować jak czytelnicy, których list ukazał się w „Poczcie" nr 117. I tak sprzątamy pracownię, myjemy okna w internacie i w szkole. Nasz dyżur w kuchni trwa w niedzielę od 7.00 do 18.00. Oprócz tego jesteśmy zmuszane do ciężkich prac polowych, np. musimy ładować piasek na przyczepę. Jeżeli nie wykonamy wyznaczonej pracy, otrzymujemy karę, a na drugi dzień wykonujemy tę pracę w podwójnych ilościach lub odbierają nam stypendium.

Mieszkanki internatu

Jak pozyskać przyjaciół...

Jestem bardzo samotna. Nie mieszkam w tym samym osiedlu co cała moja klasa i z tego powodu nie mam żadnej serdecznej koleżanki. Nie mówię już o chłopcach, bo u nich wcale nie mam powodzenia. Potrzebna jestem im tylko wtedy, gdy trzeba dać odpisać lekcje. Jestem już w siódmej klasie i garnę się do ludzi. Jednak nigdzie nie przyjmują mnie. Nie należę do żadnej paczki, nie jestem zapraszana na prywatki. Moja samotność trwa już dwa lata i coraz trudniej jest mi z nią wytrzymać! Co robić? Jak mam zachować się chcąc pozyskać sobie serdecznych przyjaciół? Liczę, że czytelnicy „ŚM" pomogą mi.

„Ja"

Hufiec pracy dla dziewcząt

Chciałybyśmy z koleżankami dostać się do Hufca Pracy i jednocześnie ukończyć w nim jakąś szkołę. Niestety, w naszej małej miejscowości nikt nie jest w stanie nam doradzić, a do miasta wojewódzkiego też wybrać się niełatwo. Dlatego Ciebie, Redakcjo, prosimy – poradź nam, gdzie się mamy zwrócić w tej sprawie.

Przyszła Junaczka

OD REDAKCJI: Wszystkich informacji na temat Hufców Pracy dla dziewcząt udzieli Wam korespondencyjnie pani Barbara Michałowska, Wydział Hufców Stacjonarnych i Dochodzących: Nowy Świat 18/20, 00–497 Warszawa. (wm)

książki o rejsie „Otago". I oto czytam takie słowa w charakterystyce Chorenia: „Spokojny i konsekwentny w realizacji zamierzonych celów" i zaraz potem – „doskonale znający rzemiosło żeglarskie". Te zdania napisano po prawie 30 tysiącach mil wspólnej żeglugi. Po 203 dniach i 22 godzinach spędzonych razem na kilkunastu metrach kwadratowych pokładu.

Stocznia Gdańska w imprezę z budową żaglowca nie ruszyła z zamkniętymi oczyma. Owszem, to prawda, gdy tylko powstał projekt budowy, sama wystąpiła z ofertą. Ale przed tym sobie wszystko dokładnie skalkulowano, czy cała zabawa będzie się opłacać. Zrobiono rozpoznanie na ten temat – na świecie od pewnego czasu zainteresowanie żaglowcami jest spore. Ropa droga, może będzie jeszcze droższa, może by wozić żaglowcami. Trochę wolniej, ale o ileż taniej. Budowa żaglowców może być opłacalna. Warto spróbować – pomyślano w stoczni – doświadczenie zdobyte na budowie „Daru" może kiedyś procentować w „twardych" dewizach. A jeśli towarowe żaglowce okażą się niewypałami, to zawsze znajdą się chętni na żaglowe statki szkolne.

W stoczni rozważano „za" i „przeciw", a Choreń obłożył się starymi podręcznikami budowy okrętów żaglowych. I zaczął dopasowywać tamte dobre wzory do dzisiejszych wymagań. Dziś przepisy wymagają, aby wystarczyło zwolnić kilka dźwigni i łódź ratunkowa znalazła się na wodzie. Tak jest bezpiecznie, ale to nie jest rozwiązanie dla żaglowca; utrudnia obsługę żagli. Trzeba szukać rozwiązania, które pogodzi wszystkie – a statek będzie „trzymał styl" i będzie bezpieczny.

„Robić taki statek – mówi Choreń – to znaczy być szewcem, który robi jedną parę butów zamówionych przez kilku ludzi".

Armator chce, ażeby statek gwarantował uczniom „nabycie umiejętności życia w grupie", wdrożył ich do „zasad obowiązkowości i odpowiedzialności indywidualnej i zbiorowej". Stocznia chce, aby statek nie był zbyt skomplikowany, ażeby jego budowa nie trwała zbyt długo. Choreń chciałby, aby wszyscy byli zadowoleni, a „Dar" zwrotny, stateczny, szybki. – „I bezpieczny – dodaje – i zaraz wylicza dokładnie: nawet przechylony o 90°, a więc leżąc masztami na falach, musi podnieść się o własnych siłach; będzie miał najnowocześniejszy system obrony przed pożarem; jest tak zaprojektowany, aby rzadziej niż na starym „Darze Pomorza" na pokład wdzierały się fale grożąc zmyciem członków załogi. I jeszcze jedno – obmyślili to razem z kpt. Jurkiewiczem, długoletnim dowódcą „Daru Pomorza" – będzie miał częściowo system pasów zabezpieczających przed upadkiem marynarzy obsługujących żagle na 50-metrowej wysokości".

„Chciałbym – ciągnie Choreń litanię wymagań pod swoim adresem – żeby statek był piękny. Gdy do obcego portu wejdzie nasz najnowocześniejszy statek, chluba – jak to się mówi – naszych stoczni, żeby zwróciło na niego uwagę kilku fachowców. A jak wchodzi żaglowiec, ogląda go i zwiedza nieraz kilkanaście tysięcy ludzi. – Taki statek to ambasador – mówi Choreń – każdy detal musi być bez zarzutu".

Dokładność, precyzja wykonania już dziś sen mu spędza z oczu. Wpatruje się w rozłożyste płachty rysunków i jak mu koledzy dogadują – „modli się do milimetrów".

„O, tu – pokazuje wysokość burty „Daru" – dodaliśmy 50 milimetrów."

– No i co – pytam – tak trudno to było zrobić?

„Trudno, nietrudno, ale 50 milimetrów dużo zmienia. Choćby sylwetkę. A kto chce, żeby „Dar" jak stodoła na wodzie wyglądał?"

Dwa miesiące ważył w sobie tę 50-milimetrową decyzję. A dziś znowu ma kłopot: czy wystarczy? Bo trzeba w podłogi i sufity wmontować izolację, rurociągi, wykładziny, że drobną niedokładność i całe to modlenie do milimetrów diabli wezmą. Bo przepis jest twardy, pomieszczenia muszą mieć 2 metry wysokości. Nie mniej! Ani o milimetr.

We wszystkich krajach morskich coraz głośniej mówi się o potrzebie programów morskiego wychowania młodzieży. Także i u nas coraz częściej o tym słychać. W USA, w niektórych szkołach średnich i na wyższych uczelniach wprowadza się tzw. semestr morski. Na biurku Zygmunta Chorenia leży amerykańska broszura na ten temat. Napisano w niej: absolwenci są często znakomicie zaznajomieni z muskułami żaby, z datami traktatu wersalskiego, formami sonetów. Ale zwykle mają bardzo niewiele wiedzy o morzu.

Nic dodać, nic ująć! Zygmunt Choreń wierzy, że „Darem Młodzieży" rozpocznie budowę flotylli żaglowej, na pokładach której uczniowie naszych szkół wyruszą na spotkania z morzem.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI
Fot. **Marek Szymański**

CO WIEMY O „DARZE MŁODZIEŻY"

Oto techniczna wizytówka statku. Długość – 105,4 metra, szerokość – 14 metrów, zanurzenie 6 metrów, powierzchnia ożaglowania podstawowego – 3 tys. metrów kwadratowych. Silnik pomocniczy – 1500 KM, wyporność – 2950 ton. Liczba miejsc – 240. Wysokość masztów: fok – 49 metrów, grot – 49 metrów, bezan – 40 metrów. Grubość blach poszycia – 9 milimetrów.

* * *

Prawdopodobnie, nie jest to jeszcze dokładnie ustalone, budowa żaglowca rozpocznie się w lipcu 1980 roku i trwać będzie około dziesięć miesięcy.

* * *

Armatorem statku będzie gdyńska szkoła kapitanów, czyli Wyższa Szkoła Morska.

* * *

Młodzi pracownicy wielu zakładów zadeklarowali pomoc w przygotowaniu materiałów i urządzeń wyposażenia „Daru Młodzieży". Bezpłatnie wykonane zostaną: piec piekarniczy, wirniki, szafy chłodnicze, urządzenia biochemicznej obróbki ścieków, filtrów wodnych, tratwy ratunkowe, elementy hydrauliczne siłowni, materiały tapicerskie itp. Jest także wiele zgłoszeń deklarujących wpłaty pieniędzy na konto budowy „Daru Młodzieży". Akcja trwa.

Tajemnice grobowców faraonów

RABUSIE Z DOLINY KRÓLÓW

Kogo z nas nie fascynowała historia starożytnego Egiptu – państwa Kemi – jak nazywali go Egipcjanie żyjący przed tysiącami lat. I choć przeminęły czasy rządów Setiego I, Ramzesa II, Amenhotepa IV i pięknej królowej Nefretete, to wydarzenia tamtych lat żywe są po dziś dzień...

Święta Dolina Królów – Biban-el-Mulak leży na zachodnim brzegu Nilu nie opodal Karnaku i Luksoru. To tu niegdyś kapłani i najwyżsi dostojnicy państwowi towarzyszyli swym władcom w ich ostatniej drodze – podróży do wiecznego miejsca spoczynku. To tu, w wykutych w skale grobach, składali ich ciała. Aby zaś bogowie poznali, kto przybywa do ich królestwa, przybierano mumie w nieprzebrane ilości złota, drogich kamieni i pereł. Wszystko to miało zapewnić faraonom w przyszłym życiu dobrobyt i stanowiło swego rodzaju bilet wizytowy. Tak pochowani władcy wiecznie mieli trwać w spokoju, leżąc w komorach grobowych otoczonych przedsionkami pełnymi martwego przepychu i śladów życia sprzed tysięcy lat. Ale właśnie owe bezcenne skarby, z którymi faraonowie nawet po śmierci nie potrafili się rozstać, sprawiały, że nie dane im było zbyt długo spoczywać w pokoju. Rabusie pozbawieni wszelkich skrupułów, głusi i ślepi na przykazania wiary egipskiej, nie zważając na klątwy kapłanów plądrowali grobowce, okradając je z najcenniejszych kosztowności. A że zmumifikowane zwłoki władców pod grubą warstwą bandaży przystrojone były w drogocenności, nie oszczędzali i tych.

Tak więc już w początkach panowania pierwszych królów XVIII dynastii, czyli od około 1555 przed naszą erą, nie było bodaj w Egipcie ani jednego grobu królewskiego, który by nie został obrabowany, ani jednej mumii znaczniejszej osoby, która by nie została odarta z części „magicznego rynsztunku".

Okradanie grobowców stało się procederem wręcz powszednim, jednak schwytanie świętokradców zdarzało się niesłychanie rzadko. Bo jakże mogło być inaczej, skoro za poczynaniami rzezimieszków stali zwykle możni ówczesnego świata – wysocy dostojnicy państwowi, niejednokrotnie nawet sami kapłani, którzy kierowali przygotowaniami do plądrowania wiecznego miejsca spoczynku faraonów.

Nie zawsze dane było rabusiom doprowadzać do końca swe zamierzenia. I tak na przykład nieznany świętokradca chcąc ułatwić sobie pracę i transport – pociął na kawałki mumię żony króla Zera, lecz spłoszony przez strażników Doliny Królów ukrył oderwane ramię królowej w jakiejś dziurze w murze grobowca. Dopiero angielscy archeologowie odnaleźli je tu w 1900 roku, z zachowanym pod bandażami, kosztownym pierścieniem, wysadzanym ametystami i turkusami.

Do dzisiaj z tamtych czasów dotrwały nieliczne dokumenty sądowe stanowiące protokoły śledztwa i zeznań opryszków ujętych na gorącym uczynku okradania królewskich grobów. Oto fragment jednego z nich:

„Otworzyliśmy ich trumny i zdjęliśmy z nich powłoki, w które byli owinięci. Znaleźliśmy dostojną mumię króla. Miał na szyi długi sznur amuletów i klejnotów ze złota. Głowa była zakryta złotą maską. Cała dostojna mumia króla była od stóp do głowy pokryta złotem. Powłoki były wewnątrz i od zewnątrz posrebrzane oraz wykładane wszelkiego rodzaju kosztownymi kamieniami. Pozrywaliśmy złoto, które znaleźliśmy na dostojnej mumii boga, a także amulety i klejnoty, jakie miała na szyi w powłoce, w której spoczywa. W ten sam sposób znaleźliśmy małżonkę króla. Obdarliśmy ją ze wszystkiego, co miała na sobie. Ukradliśmy sprzęty, które znaleźliśmy przy niej, a były to naczynia ze złota, srebra i brązu, które znaleźliśmy przy mumiach tych dwojga bogów, amulety, klejnoty i powijaki podzieliliśmy na osiem części".

Kapłani, którzy nie ulegli kuszącemu wpływowi bogactw, wierni swemu urzędowi, chcąc zapobiec grabieży, sami musieli wykradać mumie i to prędzej niż tamci. Zdarzały się niejednokrotnie przypadki, że mumię wyciągnięto z jednego, chowano w następnym grobowcu, który wkrótce okazywał się za mało bezpieczny. Więc ponownie garstka kapłanów w ciemnościach nocy przenosiła zmarłego króla w bezpieczne miejsce. I tak wielokrotnie wyciągano z grobu i na nowo chowano mumię Ramzesa III, Ahmosa Amenhotepa I, Totmesa II, a nawet Ramzesa Wielkiego. Aż w końcu – jak pisze C.W. Ceram – z braku nowych kryjówek wielu leży obok siebie w jednym wspólnym grobie.

W 1875 roku niejaki Abd-el-Rasul przypadkowo odkrył w masywie skalnym między Biban-el-Mulak a Der-el-Bahri dobrze zamaskowany otwór szybu.

Dopiero po sześciu latach czerpania bogactw z kryjówki, jaką przygotowali kapłani faraonom, dzięki którym jego rodzina opływała w dostatkach Abd-el-Rasul wskazał – kierując się niewiadomymi powodami – ów skarbiec miejscowym władzom.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. **archiwum**

Mama była na wywiadówce w szkole i po powrocie spytała się, czy nie chciałabym mieć korepetycji z matematyki. To znaczy – nie, nie spytała się, ale wręcz powiedziała do Taty, że trzeba mi korepetycje z matematyki załatwić. To Tata się mnie spytał, czy chcę. Ja na to – oczy w słup. Ze zdziwienia. Fakt, orzeł matematyczny, to że mnie nie jest, ale między mocną trójką a słabą czwórką stoję zdecydowanie, dwója mi na semestr bynajmniej nie grozi.

Więc tłumaczę Mamie, w odpowiedzi na pytanie Taty, że pomysł raczej z dziedziny niespecjalnych jest, bo korepetycje z matematyki absolutnie nie są mi potrzebne. Do Taty argumentacja moja chyba dotarła, ale Mama... Mama okazała się nieprzejednana. Podobno na wywiadówce powiedziano, że cała klasa ma szalone trudności z opanowaniem materiału, że wszyscy wyraźnie jesteśmy zaniedbani w tej dziedzinie i że jak tak dalej pójdzie, to – kto wie, możemy mieć spore kłopoty na maturze. No i Mama wpadła w panikę. Ze maturę obleję, na studia wyższe pójść nie będę mogła, klops, tragedia i w ogóle. No a poza tym, to co to znaczy mocna trójka czy słaba czwórka; to jest kiepsko, człowiek powinien mieć ambicję zdobycia piątki!

Człowiek, czyli ja, strasznie się wiercił, że ambicji takowych nie posiada, a na to Mama – że jestem niewdzięczna. Że oni (tzn. Mama i Tata) robią wszystko, żebym ja się tylko uczyła, a ja uczyć się nie chcę, na zdobyciu wiedzy mi nie zależy, bierny opór stosuję. I tak dalej. I zostało postanowione. Od poniedziałku będę miała korepetycje z matematyki, 2 razy w tygodniu po godzinie, każda godzina za 100 złotych. Czyli 200 złotych tygodniowo, 800–900 złotych miesięcznie.

Według Mamy powinnam się cieszyć, że mam takich hojnych rodziców, którzy nic dla mojego dobra nie żałują. Ale ja żałuję. Tych 800 złotych. Za które mógłby być sweterek, albo sukienka, albo – jakby się przez kilka miesięcy tę sumę odkładało – magnetofon. Ale się nie odłoży, bo forsę zgarnie korepetytor. Jestem na Mamę rozżalona. Za jej niczym nieuzasadnioną rozrzutność i za brak do mnie zaufania.

Bo ja naprawdę jestem pewna, że nic mi z matematyki nie grozi i grozić nie będzie, a trudno mieć ze wszystkiego piątki. Ja parę mam, z innych przedmiotów. A to, że inni będą brali korepetycje z matmy, to nie powód, żebym ja też musiała. Pojęcia nie mam, jak przekonać Mamę, że z tymi korepetycjami, to... kosmiczna bzdura!

ANKA

SŁAWOMIR WESOŁOWSKI

WYSPECJALIZOWAŁEM SIĘ W UJĘCIU MUZYKI DYSKOTEKOWEJ...

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że o wartości płyty decydują nie tylko wykonawca, kompozytor, autor tekstu i aranżer, ale także realizator lub, jak kto woli, reżyser nagrania. Jak wiele zależy od tego człowieka, od jego wiedzy technicznej, osłuchania, dobrego ucha! W krajach, gdzie istnieje przemysł fonograficzny z prawdziwego zdarzenia, realizator jest człowiekiem docenianym, zauważanym. Wielu znanych artystów od lat współpracuje z tymi samymi realizatorami, uważa ich – i słusznie – za współtwórców swoich sukcesów. Gdybym poprosił was o podanie choćby jednego nazwiska polskiego realizatora, mielibyście zapewne kłopoty z odpowiedzią. To prawda, że tych naprawdę dobrych jest niewielu, że rzadko mówią o nich twórcy i wykonawcy, że nie oceniają ich pracy recenzenci płyt. Szkoda! Przedstawiam wam młodego realizatora Polskiego Radia, który ma na swoim koncie kilkanaście udanych sesji nagraniowych – nazywa się SŁAWOMIR WESOŁOWSKI...

– Czy pamiętasz swoje pierwsze nagranie?

– Pamiętam, bo do łatwych nie należało, choćby ze względu na konieczność nałożenia efektów. Pierwszy utwór nosił tytuł „Księżycowy wiatr" – muzykę uzupełniały efekty kosmiczne: start rakiety, katastrofa w przestworzach, drugi „Wspomnienie o Annie" – tu muzykę miksowałem z... morzem. Przesłuchiwałem tę taśmę niedawno i pomyślałem, że teraz nagrałbym te dwie kompozycje Tadeusza Klimondy trochę inaczej, co nie znaczy, że zrealizowałem je źle. Przede wszystkim inaczej nagrałbym sekcje rytmiczną...

– Są ludzie, którzy rozpoznają Twoje nagrania. Czym różnią się od innych?

– Decydują chyba czytelne plany brzmieniowe, barwa poszczególnych instrumentów, selektywność. Cóż jeszcze? Może jest w tych nagraniach naturalna przestrzeń?

– Wiem, że przywiązujesz dużą wagę do nagrania perkusji. Zaprojektowałeś nawet i wykonałeś specjalną kabinę dla perkusistów...

– Box – to taka duża skrzynia z jednym okienkiem – od maja tego roku stoi w studiu S 1. Korzystam z niego – zresztą nie tylko ja, moi koledzy także – w czasie każdego nagrania. To dzięki niemu perkusja brzmi o 50 proc. lepiej, a całe granie jest bardziej selektywne. Dlaczego? Dźwięki perkusji „wchodziły" na mikrofony innych instrumentów, należało więc ten instrument odizolować akustycznie. Poza boxem wprowadziłem jeszcze kable wejściowe, łączące bezpośrednio instrumenty elektryczne z konsoletą, co przede wszystkim poszerzyło pasmo przenoszonych częstotliwości danego instrumentu, zlikwidowało zbędne zadłużenia pochodzące ze studia oraz wyeliminowałoby zniekształcenia elektryczne powstałe we wzmacniaczach mocy i kolumnach głośnikowych... – Wyspecjalizowałem się w ujęciu muzyki dyskotekowej, dla potrzeb której wprowadziłem te wszystkie nowości techniczne, nieprzydatne przy nagrywaniu tradycyjnej muzyki rozrywkowej i poważnej. Śledzę na bieżąco najnowsze nagrania dyskotekowe, czytam fachową literaturę, przeglądam prospekty najnowszych urządzeń studyjnych i marzę, żeby choć część z nich trafiła do naszych studiów...

– Konkretnie – co?

– Konsolety z urządzeniami dodatkowymi, takimi jak na przykład kompresory, ograniczniki i ekspandery, equalizery – Echochorys, Mutron-Phasor-3- Berkus Barry itp., bez zastosowania których nagrań na światowym poziomie mieć nie będziemy...

– Przypomnij swoje najciekawsze nagrania...

– Muzyka Henryka Kuźniaka do filmów telewizyjnych „Ładny gips", „Niewidzialny inspektor" i „Jaguar" z serii „Parada blagierów". Był to mój pierwszy kontakt z filmem, pierwsze spotkanie z Jerzym Maksymiukiem i pierwsze nagranie stereofoniczne dla potrzeb polskiego filmu. Pamiętam kolejne spotkanie z Jerzym Maksymiukiem, pod batutą którego Polska Orkiestra Kameralna wykonywała muzykę Adama Sławińskiego do filmu „Zaległy urlop" – muzykę klimatów, refleksyjną, nastrojową. W sierpniu rejestrowałem trzy piosenki śpiewane przez Ewę Demarczyk, nieobecną... 15 lat w polskich studiach. Potem był następny film pt. „Natchnienie" o Piotrze Figlu, z jego oczywiście muzyką. To jedno z moich najbardziej udanych nagrań. Przypadło ono do gustu samemu kompozytorowi, który umówił się ze mną na następne sesje nagraniowe. Właśnie realizuję dla Polskich Nagrań jego najnowszą płytę długogrającą z muzyką instrumentalną. Wyrażał zadowolenie z mojej pracy Andrzej Korzyński i jego zespół „Arpe Life". Moje nazwisko znajdziesz na dwóch płytach Tonpressu – Danuty Stankiewicz i „Witaj kosmosie" oraz na kasecie Wifonu „Zielone Ballady" z zespołem „Dwa plus jeden"...

– To pokaż nam jeszcze jakąś interesującą konsoletę...

– Zdjęciem wymarzonej konsolety Harissona niestety nie dysponuję, mam za to fotografię innej, równie znakomitej Sound Mixing Console UPS 4 000 produkcji francuskiej.

Redaguje LECH NOWICKI

KONKURS NAJMŁODSZYCH PIANISTÓW

Konkursy instrumentalne dla uczniów szkół muzycznych mają na ziemi lubelskiej tradycję. W bieżącym roku szkolnym jeden z takich konkursów – dla uczniów klas fortepianu, organizowany przez Państwową Szkołę Muzyczną im. Grażyny Bacewicz w Nowej Soli przekształcono w imprezę ogólnopolską. Takie ogólnopolskie konkursy instrumentalistów odbywają się w Szczecinku – dęciacy, Białymstoku – akordeoniści i Strzelcach Krajeńskich – gitarzyści. Dlaczego pianiści spotykają się w Nowej Soli? Otóż w 1975 roku nowosolska szkoła muzyczna zorganizowała konkurs regionalny, zapraszając dla urozmaicenia także szkoły z dawnych województw: szczecińskiego, poznańskiego, koszalińskiego i wrocławskiego. Organizatorzy, zachęceni sprawnym przebiegiem i wysokim poziomem, pokusili się w następnym konkursie rozszerzyć pole działania na całą zachodniopołudniową Polskę, przy czym ustalono, że konkursy odbywać się będą co dwa lata. Drugi konkurs w roku 1977 zyskał tak pochlebne opinie jurorów, którym przewodniczył prof. Lech Miklaszewski, że namówiono organizatorów do zrobienia imprezy ogólnopolskiej. Tak więc trzeci konkurs będzie Ogólnopolskim Konkursem Pianistycznym dla uczniów szkół muzycznych I stopnia. Tym razem konkurs poświęcony jest wyłącznie muzyce polskiej. Niewątpliwą atrakcją będzie wykonanie w drugim etapie koncertu z orkiestrą Filharmonii Zielonogórskiej.

Złota Tarka Old Jazz Meeting

Od 17 do 20 stycznia słuchać będziemy w klubie studenckim „Stodoła" jazzu tradycyjnego w wykonaniu zespołów amatorskich i profesjonalnych. Młodzi muzycy rywalizują o Złotą Tarkę, starsi, którzy tarkowe boje mają już poza sobą, wystąpią na koncertach galowych. Jak zwykle przyjadą „tradycjonaliści" – trzeci punkt regulaminu brzmi jak następuje: termin „jazz tradycyjny" obejmuje style jazzowe od gatunków archaicznych aż po swing – z zagranicy. Gościliśmy już sławy co się zowie, można więc mieć nadzieję, że i tym razem prawdziwych gwiazd starego jazzu nie zabraknie. Przypomnieć jeszcze wypada, że Złotą Tarkę Ad'78 zdobyła poznańska grupa wokalna Spirituals and Gospels Singers.

Na zdjęciu uczestniczka dwóch edycji Old Jazz Meeting Beryl Bryden.

TU DOBRZE MI

Słowa: Anna Bernat
Muzyka: Krystyna Kwiatkowska-Marczyk

II NAGRODA W RADIOWYM KONKURSIE STUDIA MŁODYCH NA PIOSENKĘ DLA MŁODZIEZY

I
Mój dom, słoneczne miejsce,
tu, gościnny próg serdeczna rozmowa.
Mój dom, cierpliwie czeka
Jeżeli zdarzy mi się spóźnić na obiad,
spóźnić po prostu.

ref.
Tu dobrze mi, nie pójdę nigdy w świat
Tu dobrze mi i cieszy mnie co mam,
nie pójdę stąd, by szukać gdzieś przygód,
nie wiem gdzie,
nie pójdę w świat – na pewno!

II
Tu szczęśliwie mogę żyć,
tu dzieją się powszednie, dobre dni,
tu zawsze są wesołe okna, ściany, drzwi
tu lubię śnić do rana więc:
nie pójdę nigdy w świat,
a jeśli, to na parę krótkich chwil
tu dobrze mi, tu dobrze, dobrze mi!

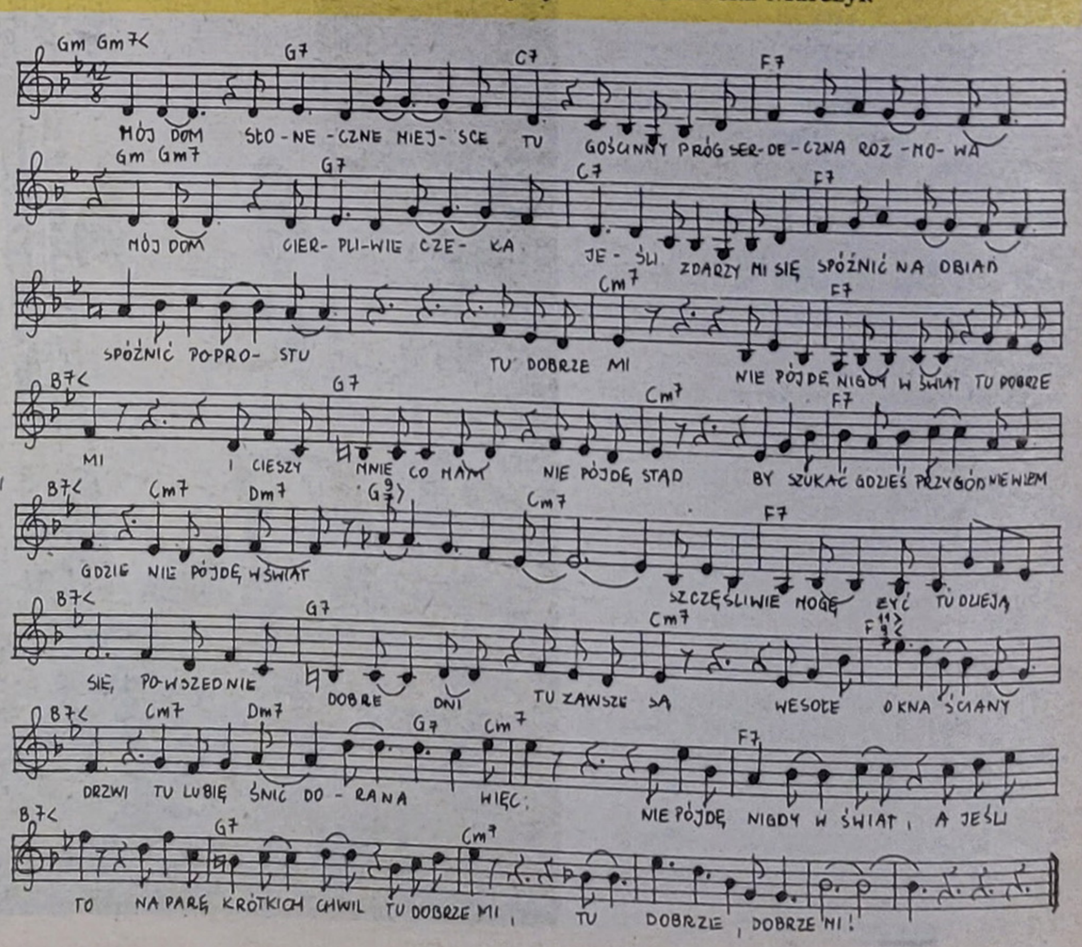

RABUSIE Z DOLINY KRÓLÓW

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Jako pierwszy opuścił się do skalnej groty pełnomocnik kairskiego Muzeum Egipskiego Emil Brugsch-bej. To, co ukazało się jego oczom, wprawiło go w zachwyt i bezgraniczne zdumienie. Oto leżeli przed nim najpotężniejsi władcy Egiptu – Seti I, Ahmos I, Amenhotep I, Ramzes II, Tutmos III i wielu innych. Jedne mumie leżały w bezładnie stojących sarkofagach, inne spoczywały wprost na ziemi, jeszcze inne stały oparte o ściany groty.

A wokół ciał czterdziestu martwych królów walały się niezliczone kosztowności związane z egipskim kultem umarłych.

Brugsch po odkryciu zbiorowego grobowca organizuje ekspedycję wyciągając na powierzchnię, rejestrując i załadowując na statek mumie królów i wszystkie przedmioty tam znalezione. Wiadomość o tym co statek ów – płynąc do Kairu – wiezie, rozniosła się lotem błyskawicy po całym kraju. I oto – jak pisze Ceram: *„Okazało się, że starożytny Egipt, który w swych władcach widział bogów, jeszcze nie wygasł. Brugsch stojąc na pokładzie zobaczył, jak setki fellachów ze swymi żonami towarzyszą statkowi (...) jak tworzyły się wciąż nowe i nowe kondukty. Mężczyźni strzelali w powietrze ze strzelb dla uczczenia martwych faraonów, kobiety obsypywały sobie ciała i twarze ziemią i pyłem, tarły piersi piaskiem. Podczas gdy statek płynął w dół rzeki, z brzegu rozlegały się żałobne pienia. Cała ta procesja, daleka od wszelkiego przepychu, była wstrząsającym wyrazem żałości”.*

Brugscha zaczęły dręczyć pytania: czy postąpił słusznie? Czy w oczach tych, co stali na brzegu to właśnie on jest złodziejem, świętokradcą, czy nie upodobnił się do tych, co przez tysiące lat bezcześcili groby władców?

Odpowiedź na jego wątpliwości dał Howard Carter, archeolog, odkrywca grobowca Tutenchamona: – *Możemy z tej sprawy wyciągnąć jedną naukę. Polecamy ją krytykom, którzy nazywają nas wandalami, bo zabieramy zabytki z grobowców. Przekazując je muzeum, staramy się o ich zachowanie. Pozostawione na miejscu stałyby się wcześniej czy później łupem złodziei, co równałoby się ich zniszczeniu.*

Oprac.
SŁAWOMIR W.J. MALINOWSKI
Fot. archiwum

1								7	16	
2								3		11
3										21
4								1		26
5									2	23
6									24	25
7								17	20	22
8								15	5	
9								12	18	6
10									4	19
11								27		9
12								8		10
13									13	14

Zadanie premiowane nr 216

WYSZUKIWANKA

Odgadnij trzynaście wyrazów 7-literowych i wpisz je do lewej części diagramu. W każdym wyrazie wyszukaj nazwę przedstawiciela fauny i wpisz ją do prawej części diagramu. Litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, napisane od 1 do 27, utworzą rozwiązanie – nazwy pięciu ryb. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych”, Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 216”.
Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

Znaczenie wyrazów 7-liter.:
1) rośnie nad brzegami wód, używany do majenia, 2) ... Krajeńskie, miasto na płd. od Chojnic (woj. bydgoskie), 3) dawny pieśniarz, przygrywający sobie na słowiańskim instrumencie strunowym, 4) republika autonomiczna w Syberii Wsch., 5) czarną podano Jackowi Soplicy, 6) gatunek wierzby, której pędy używane są na wyroby koszykarskie, 7) nikczemność, 8) bliska ciału, 9) chrzęstna tarczka w kolanie, 10) piosenkarz występujący na tle zespołu, 12) ... im. Fryderyka Chopina organizowany jest co 5 lat, 13) miasto przy linii kolejowej Gniezno-Inowrocław.

Rozwiązanie zadania premiowanego nr 212 ze 144 numeru „Świata Młodych” z dn. 9. 12. 1978 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Nic nie jest tak miękkie i tak twarde jak serce. Nagrody wylosowali: Paweł Franka – Wrocław, Krystyna Kurgan – Gdynia, Mariusz Kucharski – Kowary, Renata Makarewicz – Kraków, Ryszard Michalak – Wola Okrzejska, Ewa Pawelec – Ruda Wielka, Jolanta Radzikowska – Borówno, Piotr Serkowski – Słubice, Renata Wrzesińska – Poznań, Małgorzata Żukow – Warszawa.

PROBLEM ZAPAŁCZANY

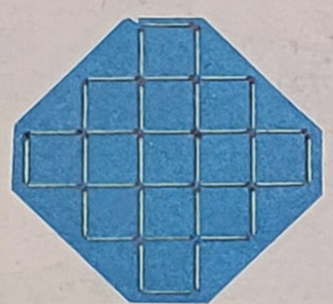

Z naszej abrakadabrowej serii zapalczanych problemów przedstawiłem dziś moim czytelnikom problem podwójny. Rozwiążemy oba warianty na tej figurze, składającej się z 13 kwadratów i 36 zapałek. Wariant pierwszy: odejmij z tej figury 8 zapałek, aby pozostało osiem kwadratów – nie wszystkie mają być jednakowej wielkosci. Wariant drugi: odejmij z wyjściowej figury 4 zapałki, aby pozostało w niej 8 jednakowych kwadratów. Jak zwykle – jakiekolwiek sztuczki z zapałkami (przecinanie, łamanie, kładzenie jednej na drugą itp.) są w tym zadaniu niedozwolone.

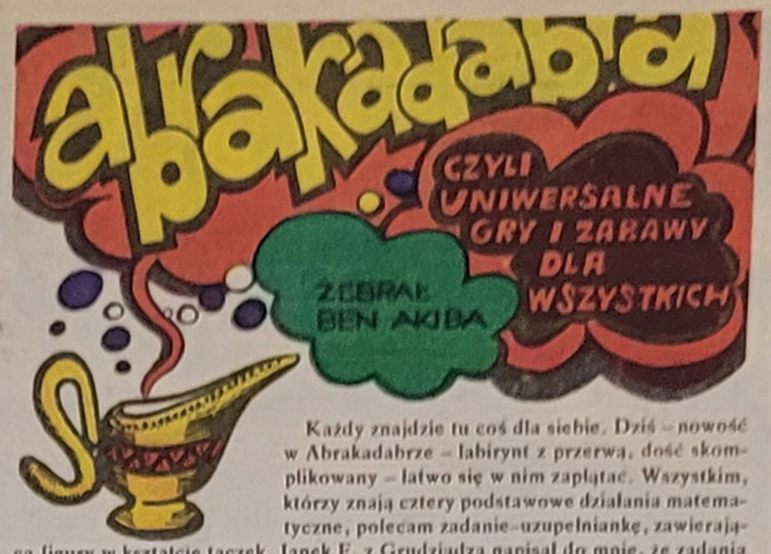

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś – nowość w Abrakadabrze – labirynt z przerwą, dość skomplikowany – łatwo się w nim zaplątać. Wszystkim, którzy znają cztery podstawowe działania matematyczne, polecam zadanie-uzupełnianke, zawierającą figury w kształcie taczek. Janek F. z Grudziądza napisał do mnie, że zadania Abrakadabry rozwiązuje zawsze po spacerze, w czasie którego kupuje „Świat Młodych”. Pewnie! Dotleniony mózg zawsze lepiej pracuje. Postępowanie Janka jest godne naśladownictwa.

Choć mróz szczypie w uszy – kłaniam się moją czarnoksięską czapką wszystkim przyjaciołom! Do zobaczenia...

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

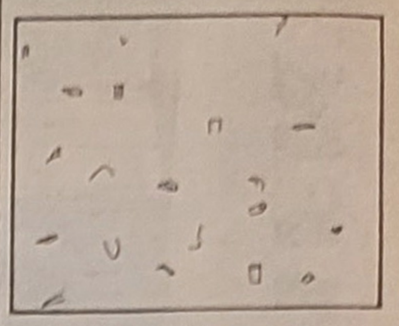

TYLKO DWADZIEŚCIA DROBIAZGÓW, CZYLI TYLKO DLA NAJMŁODSZYCH, TAJEMNICZE DZIAŁANIA: wszystkie rozwiązania na rysunkach.

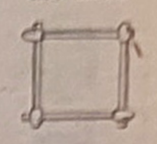

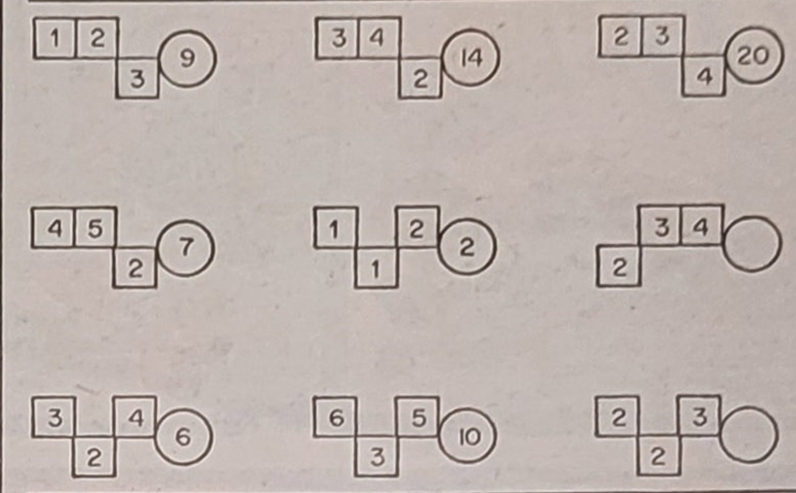

JEŚLI ZNASZ PODSTAWOWE DZIAŁANIA

Jeśli znasz podstawowe działania matematyczne, możesz bez trudu rozwiązać to zadanie – wpisać brakujące cyfry w puste kółka drugiego i trzeciego rzędu poziomego. Pierwszy rząd podaję jako przykład działania, ale muszę cię lojalnie ostrzec, że inne działania musisz zastosować w drugim rzędzie i inne w trzecim.

LABIRYNT Z PRZERWĄ

Labiryntu z przerwą jeszcze nie było w Abrakadabrze. Zadanie polega na tym, aby zgodnie ze strzałką wejść do labiryntu i dojść nieomylnie do górnego centrum zaznaczonego kółkiem. Tu następuje przerwa w podróży. Dalszą część drogi – do kolejnego punktu, kółka w prawym dolnym rogu labiryntu – pokonujemy „w powietrzu”. Od kolejnego kółka kierujemy się znów nieomylnie do wyjścia z labiryntu, oznaczonego strzałką. Proste, prawda?

Szczęśliwej podróży!

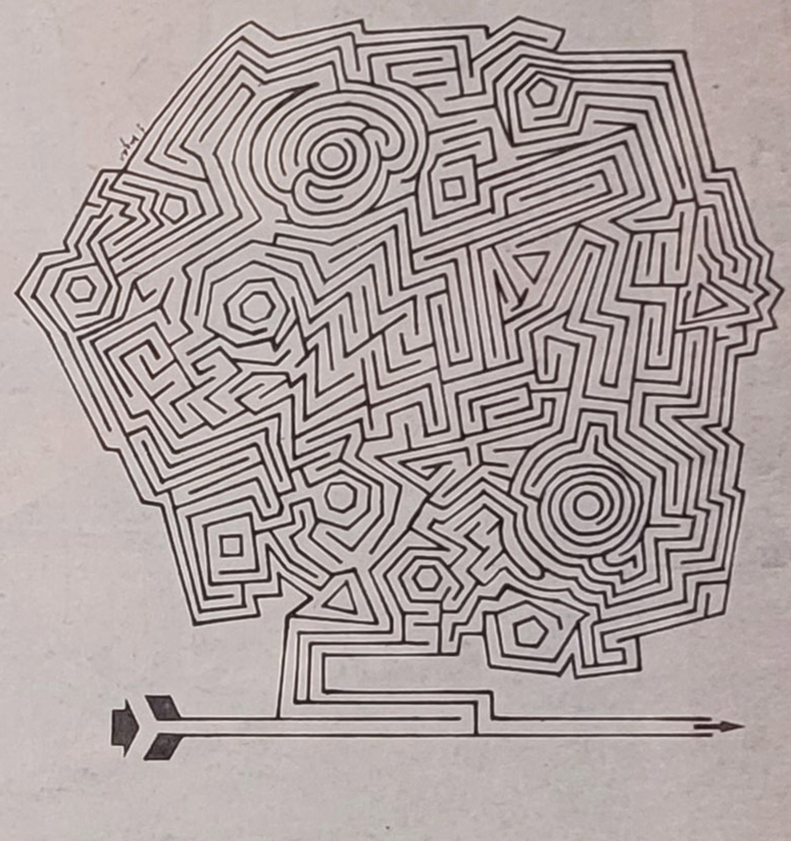

– A gdybyśmy tak weszli czegoś się napić? – zaproponował Janek. Piotr zawahał się, ale po chwili skinął głową.

– Niech będzie... Ale wiesz co? Chodźmy tam, gdzie wtedy śpiewaliśmy.

– Dobrze – ucieszył się Janek. – Zbrodniarza ciągnie do miejsca zbrodni. Idziemy!

Buchnęła na nich różnojęzyczna wrzawa, poczuli się zaraz jak u siebie w domu.

Na estradzie bębnił w pianino jakiś wąsaty wesołek. Robił niezbyt mądre miny, machał rękami i głową, wcale nie przejmując się tym, że nikt go nie słucha.

Usłyszeli wołanie z kąta przy oknie.

– Witajcie, chłopcy!

Obejrzeli się. To Michel wołał ich do swojego stolika. W ogóle było wszystko tak, jak tamtego wieczora. Ci sami ludzie przy stolikach, te same butelki, te same rozmowy, ten sam nastrój. To dlatego przynajmniej piosenki muszą być co wieczór inne.

Papieros w zębach, beret na głowie, wesoła mina – Michel rozmawia z dziesięcioma osobami naraz. Nalał im bez pytania po odrobinie wina do szklanki, dolał wody, usadowił koło siebie i kazał pić.

– Dałem wam z wodą – wyjaśnił, bo woda jest tu lepsza od wina. – Ale i żałuję jej bardziej niż wina. Garcon! – zwrócił się do kelnera – butelkę wody, une toouteille d'eau! – powiedział to tak wytwornie, jakby zamawiał najdroższy koniak. – Udaje, bestia, że nie słyszy, widzicie? Co za słowo to l'eau”. Jak krzykniesz głośno, słychać tylko samo „ooo” ... Tfu! Wasser! – zawołał po niemiecku, a potem próbował jeszcze w innych językach. Kelner ciągle nie słyszał. Michel cieszył się jak dzieciak, że potwierdza się to, co mówił o kelnerze. – Nie słyszy, bestia. Udaje, że nie rozumie.

– Niech pan spróbuje po polsku – doradził Jean.

– Dobra! Zawołamy po polsku – spojrzał na chłopców pytająco.

– Wody – podpowiedział Piotr. – A Michel zaraz na cały głos: – Garcon, wody! – krzyknął to w ten sposób, że słychać było znowu tylko „ooo”.

Kelner obejrzał się i przyniósł za chwilę pełną karafkę.

– Brawo! – poklepał go Michel po ramieniu. – Jesteś poliglotą, bracie. Masz napiwek – i wręczył mu pięciofrankówkę. – Jak przyjedziesz do Polski, to dostaniesz wody za darmo – rzucił za nim i roześmiał się na cały głos.

Dokazywał, dogadywał wszystkim naokoło, rozchlapywał wino po stole, aż nagle spoważniał i wskazując na pianistę powiedział z przekonaniem:

– To jest wielki artysta. Posłuchajcie! – Zaczął gestami uciszać innych gości. Kładł palec na ustach i ruchem głowy wskazywał na muzyka. Przez chwilę zrobiła się cisza i wszyscy słuchali grania i patrzyli na grającego.

Michel nachylił się do chłopców i szepnął im przez stolik: – Żeby tak partolić z taką pewną siebie miną, to trzeba być naprawdę wielkim artystą, no nie? – mrugnął do nich porozumiewawczo. Ale widzicie, co znaczy reklama? Wszyscy teraz słuchają i zaraz będą go oklaskiwać.

Rzeczywiście, gdy pianista skończył swój kawałek, rozległy się głośne brawa. Michel wstał i walił w ręce z całej siły:

– Brawo! Brawo! Bis! – krzyknął.

Brawa się wzmogły i urządzono biednemu muzykantowi taką szaloną, owację, że on sam już na pewno nie wiedział, czy to kpiny, czy na serio... Odszedł gnąc się w ukłonach, bo jego czas już się skończył i czekał następny muzykant ze swoim programem.

Wychodzili z kafejki prawie o północy – rozbawieni, rozdokazywani, pijani nie winem, tylko wesołością, gwarem, rozmową.

Na ulicy Michel podał im rękę, wypluł niedopałek papierosa i westchnął ciężko:

– Koniec zabawy. Idziemy spać. Jutro czekam na was o dziesiątej.

Nazajutrz poszli do Dzielnicy Łacińskiej do tej „znajomej”, o której mówiła Julietta.

Znaleźli ulicę, znaleźli aptekę. Rzeczywiście była to jedyna apteka na tej krótkiej uliczce. Pytali o taką panią, która wynajmuje pokoje turystom. Nikt nie wie.

– Tu przychodzi do niej taka mała Mulatka – tłumaczy Piotr.

– Aha, to już wiem. Trzecie piętro, drzwi na lewo.

Cdn.

ATOMEK

TYTUS, Romek i ATOMEK

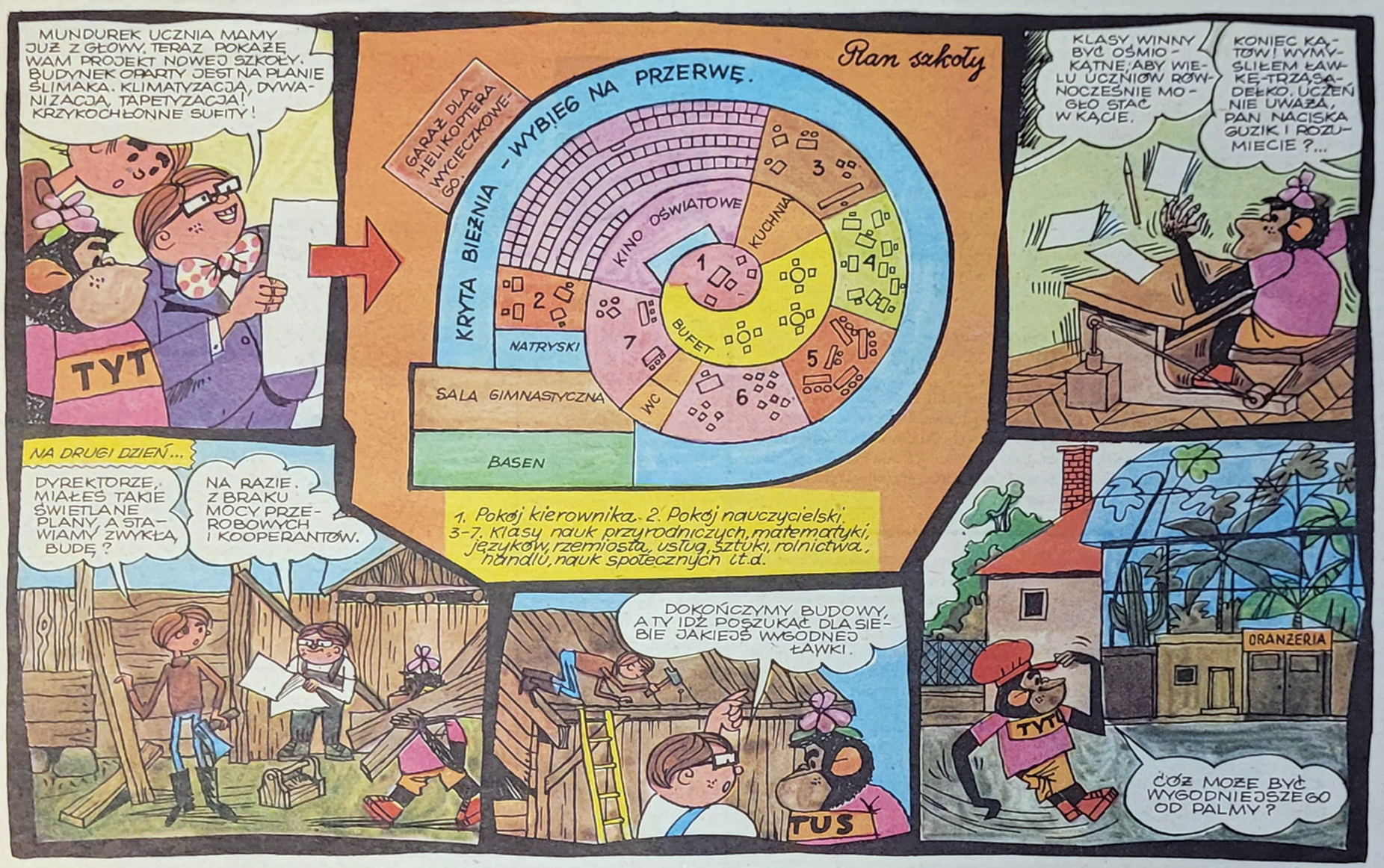

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569)

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne: **Szarlota Pawel**

Redakcja techniczna: **Małgorzata Kula**

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 8345/G S-5

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

— Chodzisz jeszcze do oberży? – dopytywał się Janek.

– Nie – rzuciła krótko i roześmiała się podrzucając w ręku wiszącą jej na ramieniu torebkę. – Widzicie, co mam? Otworzyła torebkę, pogrzebała w niej chwilę.– Mogę sobie jeździć po całym Paryżu – wyciągnęła garstkę biletów na metro. – Dziś rano wyjeżdżali Anglicy i dali mi to, bo już im nie były potrzebne...

– Ale nie za darmo – dodała po chwili. – Zaprowadziłam ich na dworzec.

– Więc jednak spałaś dziś w oberży! – Janek uparł się, żeby z niej wydobyć jakąś informację.

– Tej nocy jeszcze tak– przyznała zawstydzona. – Ale już od jutra będę miała prawdziwe mieszkanie.

– Jak to, prawdziwe?

Julietta mówiła niechętnie. Jakoś jednak dowiedzieli się od niej, że znajoma jej ciotki, tej prawie mitycznej ciotki, co do istnienia której Janek miał poważne wątpliwości, że znajoma tej ciotki wynajmuje w swoim prawdziwym mieszkaniu pokoje dla turystów. Wynajmuje bardzo tanio, bo nie są to takie dobre pokoje jak w hotelu. Więc może jej wystarczy na zapłacenie.

– Ona mnie chyba trochę lubi – uśmiechnęła się smutno – i dlatego obiecała, że jak nie będzie miała gości, to mogę sobie tam nocować, czy zapłacę, czy nie. To jest bardzo dobra kobieta... Nawet dała mi sweterek.

Janek spojrzał na nią.

– No jeszcze mi nie dała – poprawiła się Julietta – ale obiecała, że da, jak jej posprzątam mieszkanie.

– Aha, więc to tak wygląda, jeśli wszystko od początku do końca nie było zmyślone. „Znajoma ciotki" – niech będzie i tak.

– Nic mi nie wierzycie – nadąsała się. – A ja mówię prawdę.

– A gdzie mieszka ta znajoma?

Julietta spojrzała nieufnie na Janka.

– Po co chcesz wiedzieć?

Zawahał się przez chwilę, ale zaraz wymyślił:

– Bo powiedziałaś, że ona wynajmuje tanio pokoje turystom. Bardzo by nam się przydało coś takiego. Jakiś niedrogi pokoik na parę dni.

Julietta zamilkła. Szła obok chłopców, coś sobie głęboko rozważając.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Przyjdźcie do niej jutro rano. Rue Saint Severin w Dzielnicy Łacińskiej.

– Który numer domu?

– Nie wiem. Ja tam zawsze trafię. W tym domu, co apteka.

– A może na tej ulicy jest dziesięć aptek?

– Nie! – zaperzyła się Julietta. – Jest tylko jedna.

Zbliżali się do dworca, więc trzeba było zająć się czym innym.

– Pójdziemy tam jutro? – spytał Janek, gdy pożegnali się z małą.

– Pójdziemy – powiedział Piotr. – Trzeba sprawdzić, co ta smarkata nabujała.

– A jeśli nie nabujała, to moglibyśmy naprawdę wynająć pokój na parę dni.

Był ciepły, pogodny wieczór. Kafejki, jedna koło drugiej, otwarte szeroko i wychodzące ze stolikami na ulicę. Piwo, wino, rozmowy – we wszystkich językach świata. Zakręciło im się w głowie chociaż przecież już nie po raz pierwszy przechodzili tymi ulicami.

Dokończenie na str. 7